



ADRIATYK
BAŁTYK
MORZE CZARNE

ABC

8/89

spis treści ABC 8/89

KOMENTARZ

3 • Jan Sas

Wobec gwałtownych przemian

LITWINI O PRAWACH POLSKIEJ MNIEJSZOŚCI NARODOWEJ

7 • *Maja wiara nie jest ani polska, ani litewska*

- rozmowa z ks. Kazysiem Vaizionisem, rozmawia Bronisław Komorowski

14 • *Tomas Venclova*

List otwarty do Litwinów i Polaków na Litwie.

18 • *NV*

Narodzony "Solidarności" w Gulagu

WOKÓŁ MNIEJSZOŚCI NIEMIECKIEJ W POLSCE

20 • *Zbigniew Arnhold*

Są czy ich nie ma?

34 • *A.K.*

Spór o mniejszość niemiecką w Polsce

42 • *Zbigniew Arnhold*

Zaklęte "Koła Przyjaźni"

NOWA PRAWICA W CZECHOSŁOWACJI

49 • *Klęska lewicy jest całkowita, choć nie ostateczna...*

- rozmowa z Alekssem Tomskim, rozmawia Bogdan Gorski

UKRAINA. UKRAIŃCY. POLACY...

68 • *Wierzę, że powstanie wolna Ukraina...*

- rozmowa z Tarasem Kuzio, rozmawia Bogdan Gorski

76 • *Petro Kowalczuk*

"My i Wy" - dalsze refleksje Ukraińca

87 • *Z.M.*

Kilka słów komentarza

91 • Odpowiedź na ankietę "Suczasnisti"

© COPYRIGHT BY ABC 1989

Naszym stałym współpracownikiem na Zachodzie jest:

Tadeusz KADENACY
32 Winterfold Close
London SW 19 GLE
tel 788 2964

Wszelką korespondencję, materiały i pomoc dla "ABC"
prosimy kierować za pośrednictwem kółportażu lub na
adres naszego współpracownika.

Podziękowania:

Tadeusz Lic - za książki i czasopisma
Garcia Lorca - powtórnie za 500

komentarz

WOBEC GWALTOWNYCH PRZEMIAN

Szybkość przemian zachodzących w całym bloku państw komunistycznych spowodowała, że uznaliśmy za słuszne zrezygnowanie z zamieszczania w naszym piśmie komentarzy na temat bieżących wydarzeń. Długi cykl wydawniczy "ABC" powoduje, że ukazujące się w nim komentarze często dezaktualizują się dotrą do czytelnika. Podjęcie tej decyzji ułatwiła nam znaczna liberalizacja cenzury, dzięki której każdy zainteresowany może się dowiedzieć o tym, co dzieje się w krajach naszego obozu, szybciej i łatwiej niż dotychczas z prasy niezależnej ukazującej się w oficjalnym obiegu.

Rezygnacja z komentowania aktualnych wydarzeń "na gorąco" nie oznacza, że przestajemy się nimi interesować. W dalszym ciągu będziemy się starali zwracać uwagę naszych czytelników na te procesy, których charakter wydaje się trwały, a znaczenie istotne dla poruszanej przez nas problematyki.

...

Zaskakiwani coraz to nowymi przejawami budzenia się narodów imperium, przez lata uznawanego przez wielu za niewzruszone, nie dostrzegamy, lub nie chcemy dostrzegać, że nie zawsze działania skierowane przeciwko panującym w nim stosunkom można oceniać jednoznacznie pozytywnie. Często przy naszej ocenie tych zjawisk zasadniczą rolę odgrywa solidarność z tymi, którzy decydują się na walkę z systemem. Ponadto żywimy przekonanie, że wszystko to, niejako automatycznie, służy naszej wspólnej sprawie - sprawie likwidacji komunizmu. Taki punkt wyjścia utrudnia właściwą ocenę sytuacji i powoduje, że bezkrytycznie przyjmujemy wszelkie zgłaszane przez opozycję postulaty. Zapominamy, że sowietyzacja społeczeństw nie jest procesem, który można przerwać z dnia na dzień. Zniszczenia jakie ona powoduje są bardzo głębokie i, jak należy się obawiać, długotrwałe. Łatwo to można dostrzec na przykładzie naszego społeczeństwa.

Przez dziesiątki lat niemożliwe były normale kontakty pomiędzy najbliższymi sąsiadami. Sprzyjało to gromadzeniu się wzajemnych uprzedzeń i nieufności. Jednocześnie swoistej konserwacji podlegały dawne urazy i stereotypy. Było to tym łatwiejsze, że były one fragmentem narodowej

tradycji, z którą usilnie walczyła władza komunistyczna. W tej sytuacji nie można było sobie pozwolić na krytyczny stosunek do własnego dziedzictwa, gdyż mogłoby to być zrozumiane jako zdrada interesów narodowych. Do walki o narodową tożsamość zarówno my, jak i nasi sąsiedzi przystępujemy nie tylko ze wspólnym dla nas wszystkich stosunkiem do komunizmu, ale i z tłumionymi przez dziesięciolecia wzajemnymi uprzedzeniami. Nie jest to lekki bagaż o czym możemy się przekonać śledząc dramaty na Zakaukaziu.

Nienawiść do najbliższych sąsiadów, sięgająca swoimi korzeniami niejednokrotnie w odległą historię¹, zdominowała tam wzajemne stosunki. Popierając prawo Ormian do bycia gospodarzami we własnym domu nie spoaób, nie dostrzec, do czego doprowadziła nienawiść. Nie jest to tylko kwestia moralna. Okazuje się bowiem, że taka postawa rodzi nieprzewidziane konsekwencje. Ormianie walcząc obecnie o odrodzenie narodowe jednocześnie uznają za niezbędne zachowanie imperium rosyjskiego w całości, gdyż są przekonani, że jest to gwarancją ich fizycznego przetrwania. Za wrogość w stosunkach z sąsiadami muszą zapłacić rezygnacją z pełni suwerenności.

Zachowując właściwe proporcje należy dostrzegać realne niebezpieczeństwo podobnego rozwoju wypadków na Litwie, jeśli nie nastąpi tam zrozumienie dla aspiracji współmieszkańców o innej narodowości. Podkreślam wyraźnie: w naszym interesie jest istnienie suwerennej w możliwie najszerszym zakresie Litwy, z Wilnem jako stolicą, ale w naszym i litewskim interesie leży, także takie ułożenie stosunków wewnątrz tego państwa, aby żyjący tam jeszcze Polacy (jak i inne narodowości), nie zostali pozbawieni należnych im praw do własnej kultury i tożsamości narodowej. Bezwzględne podporządkowanie wszystkich form życia społecznego idei państwa litewskiego musi prowadzić do konfliktu. Nie sposób uznać za uzasadnione litewskie obawy przed groźbą polonizacji (kogo? w jaki sposób?). Duchy z przeszłości wydają się tam nadzwyczaj żywotne.

^{1/} Konflikt armeńsko-turecki - sięga odległej przeszłości. Ograniczając się jedynie do ostatniego stulecia należy wspomnieć los Ormian w okresie I wojny światowej, gdy stali się oni ofiarami ludobójstwa dokonanego przez Turków. Zginęły miliony Ormian zamieszkałych nie tylko na terytorium dawnego imperium osmańskiego, ale i żyjących na terenach Rosji, wstrząsanej w tym czasie walkami rewolucyjnymi. Nienawiść do Ormian wśród otaczających ich narodów, w większości pochodzenia tureckiego, wynikała z nie tyle z ich odmiennej religii, co z uprzywilejowanej pozycji majątkowej wielu z nich. Zajmowali się oni tradycyjnie handlem, obrotem pieniędźmi oraz rzemiosłem. Obwiniano ich o wyzysk i powodowanie ubóstwa okolicznej ludności. Te zarzuty przypominają znane skądinąd oskarżenia wysuwane w stosunku do innego narodu. Doprowadziło to do analogicznego skutku - ludobójstwa.

Na marginesie uwag dotyczących kontaktów z najbliższymi sąsiadami musimy także uświadomić sobie rolę, jaka przypada polskim politykom, którzy mają ambicję wywierania wpływu na nasze wzajemne stosunki. Będąc głęboko przekonanym o potrzebie jak największego zbliżenia i poszanowania interesów naszych sąsiadów, nie można się jednak zgodzić na przyjęcie przez naszych przedstawicieli roli adwokatów strony litewskiej, ukraińskiej, białoruskiej czy też innych. W moim przekonaniu jest to obowiązek elit politycznych drugiej strony. Natomiast obowiązkiem naszych polityków jest przedstawianie stanowiska polskiego i bronienie naszych racji. Oczywiście, trzeba zachować otwartość na argumenty drugiej strony i, gdy wymaga tego sytuacja, przekonywać do nich polskie społeczeństwo. Aby uniknąć nieporozumień związanych z tym, co napisałem powyżej, odwołam się do porównania z procesem sądowym. Inną w nim rolę odgrywa prokurator, inną adwokat, a inną ława przysięgłych. Łączyć ich powinno natomiast poszanowanie prawa i dążenie do sprawiedliwego osądu przedmiotu sprawy. Łatwo można sobie wyobrazić sytuację, gdy któraś ze stron pomyli role. Czas już najwyższy, żeby odróżniać zadania publicysty od zadań polityka.

Znakomitym przykładem zrozumienia tych zadań była wizyta w Polsce Mychajło Horynia, wybitnego przedstawiciela ukraińskiej opozycji. Nie było w jego wypowiedziach prób przypodobania się polskim słuchaczom. Bronił racji swojego narodu w sposób stanowczy, co nie znaczy, że przyjmował antypolskie stanowisko. Wręcz przeciwnie, z pełnym przekonaniem można stwierdzić, że jest on zwolennikiem zbliżenia między naszymi narodami i rozwijania wzajemnych kontaktów. Nie można natomiast powiedzieć, aby podobną dojrzałość prezentowali wszyscy jego rozmówcy. Wykazywali się oni nielejednokrotnie daleko posuniętą ignorancją w sprawach ukraińskich, i to mimo zajmowania niekiedy eksponowanych stanowisk politycznych. Nie można przystępować do poważnych rozmów bez elementarnego przygotowania. Świadczy to bowiem albo o ignorowaniu partnera, albo o głupocie rozmówców. W obydwu przypadkach nie służy to dialogowi. Mam jednak nadzieję, że nie wszystkie spotkania miały taki przebieg jak te, w których uczestniczył członek naszej redakcji. Jeśli chcemy uzyskać zrozumienie dla naszego stanowiska, to musimy przekonać drugą stronę, że jest to rzeczywiście istotne. W przeciwnym razie nie uzyskamy nic. Nie chodzi tu przecież o żadne nadzwyczajne ustępstwa jak na przykład zmiany terytorialne, a jedynie o wzajemne gwarancje dla rozwoju mniejszości narodowych, a także o dostęp do dóbr kulturalnych, tak ważnych dla Polaków, a znajdujących się na terenie Ukrainy, Litwy czy Białorusi. Ten dostęp, nie naruszający w niczym suwerenności sąsiadów powinien być, moim zdaniem, celem naszych wzajemnych

kontaktów². Wymaga to wiele taktu z naszej strony, ale gdy trzeba - także głębokiego przekonania o słuszności zgłaszanych postulatów.

Innym przykładem braku zrozumienia dla naszych interesów narodowych, jak również wspomnianego już bezkrytycznego stosunku do wydarzeń rozgrywających się na naszych oczach w ZSRR, jest list wystosowany przez Lecha Wałęsę do "Sajudisu". Zabrakło w nim, obok wyrazów poparcia dla walki narodu litewskiego o odzyskanie suwerenności, choćby paru słów o losie naszych rodaków na terenie tej republiki. Nieopatrznie podważoną w ten sposób możliwość współdziałania ich z "Solidarnością". Utrudnią to - o ile wręcz nie uniemożliwia - odegranie przez nią jakiegokolwiek roli w łagodzeniu nabrzmiałego konfliktu pomiędzy Litwinami i Polakami na Litwie. W tej sytuacji może się okazać, że jedynymi sojusznikami naszych rodaków pozostają Rosjanie. Nie mam nic przeciwko zbliżeniu polsko-rosyjskiemu lecz w tej konkretnej sytuacji staje się jasne, że jest ono skierowane przeciwko Litwinom. Nie jest to sytuacja korzystna na dłuższą metę dla żadnej ze stron, łącznie z rosyjską.

Należy pamiętać także o jeszcze jednym złudzeniu, jakiemu ulegają niektórzy publicyści i politycy amatorzy. Istnieje bowiem przekonanie, że tak naprawdę to nic nas nie dzieli poza nieporozumieniami w kwestii oceny przeszłości. Rzeczywiście - na przykład - inaczej patrzą na pakt Hitler-Stalin Polacy, a inaczej narody, które w jego konsekwencji po raz pierwszy od stuleci zjednoczyły wszystkie zamieszkałe przez siebie ziemie. Niestety, dzieli nas nie tylko przeszłość, ale i dzień dzisiejszy, czego najlepszym dowodem są właśnie konflikty polsko-litewskie na Litwie. Niedostrzeżenie ich musi prowadzić do utraty wirygodności z obu stron granicy. Podkreślając prymat współczesności nad przeszłością chciałbym równocześnie zaznaczyć, że tak jak nie wolno nam w polityce opierać się na historycznych konfliktach, tak też nie wolno o nich zapomnieć. Powinny one stanowić ostrzeżenie przed tym, do czego może doprowadzić brak porozumienia.

Właśnie pamięć o wciąż istniejących różnicach może stać się źródłem prawdziwego zbliżenia. Starając się je zrozumieć możemy występować wobec naszych partnerów bez fałszywych póż i niestosownych oczekiwań.

Jan Sas

^{2/} Dotyczy to nie tylko niszczących we Lwowie zbiorów Ossolineum, nad których ewentualnym przekazaniem do Polski powinna zastanowić się wspólna polsko-ukraińska komisja, lecz także dóbr, których przenosić się nie powinno i nie sposób.

Litwini o prawach polskiej mniejszości narodowej na Litwie

Dążenia Estończyków, Łotyszów i Litwinów do odbudowy niezależnego życia narodowego i suwerenności państwowej budzą w Polsce powszechną sympatię. Dążeniom tym, jak zwykle w takich sytuacjach, towarzyszą przejawy nacjonalizmu, który zwraca się nie tylko przeciw rosyjskiemu imperializmowi, ale także przeciw wszystkim innym obcym. Musi to budzić gorzką refleksję i niepokój. I to nie tylko wtedy gdy skutki rozhuśtanych nastrojów nacjonalistycznych dotyczą bezpośrednio nas, Polaków, jak to ma miejsce na Litwie. Publikowane poniżej trzy teksty w zamierzeniu redakcji nie mają być jedynie rejestracją polskich krzywd, lecz także świadectwem istnienia jednostek, a może i środowisk litewskich, podejmujących z życzliwością i zrozumieniem problem praw polskiej mniejszości narodowej na Litwie. To, że głosy takie pojawiają się w okresie zaostrego konfliktu polsko-litewskiego na Wileńszczyźnie, pozwala zachować, choć umiarkowany, optymizm w kwestii przyszłości stosunków między naszymi narodami.

Redakcja

"MOJA WIARA NIE JEST ANI POLSKA, ANI LITEWSKA"

rozmowa z ks. Kazysiem Valzionisem, litewskim proboszczem polskiej parafii Turgiele na Wileńszczyźnie, przeprowadzona w maju 1989 roku.

ABC: *Jest ksiądz przyjacielem Polaków i rzecznikiem zbliżenia polsko-litewskiego. Jakie są źródła tej postawy?*

K.V.: *Wyrosłem i wychowałem się w okresie przedwojennym, gdy w szkołach litewskich panował zdecydowanie duch antypolski. Wiązało się to z napięciami na tle sprawy Wilna i świeżą jeszcze pamięcią walk z Polakami. W*

W tym czasie razem z gimnazjum w Rakiszkach (Rokiškis), gdzie się uczyłem, wychowywało nas w atmosferze niechęci do Polski i kształtowało postawę wrogości i nieufności wobec Polaków. Ale trafić chciałem, że właśnie w tym gimnazjum nawiązałem pierwsze polskie przyjaźnie. Otóż po zamknięciu przez władze litewskie polskich gimnazjów w Wilkomierzu (Ukmergie), Kownie (Kaunas) i w Poniewieżu (Panevezis), uczniowie polscy pojawili się także w naszym, rakiskim gimnazjum.

Niektórzy z nich za słabo znali język litewski jak na potrzeby szkoły średniej, więc pomagałem im nadrobić zaległości. W czasie wakacji jeździłem do ich domów rodzinnych i tam, ucząc ich litewskiego, sam uczyłem się mówić po polsku. Odwiedzając wraz z kolegami ich krewnych i sąsiadów mogłem się bliżej przyjrzeć polskim rodzinom. Podobała mi się atmosfera panująca w wielu poznanych wtedy domach, co, jak sądzę, miało również pewien wpływ na rozwój moich polskich sympatii. Chociaż moja matka znała język polski z czasów służby we dworze, to jednak znajomość tego języka nie jej zawdzięczam, ale moim kolegom z gimnazjum w Rakiszkach.

Kontakty z Polakami utrzymywałem również później, gdy podczas wojny znalazłem się w wileńskim seminarium duchownym. Było to już po likwidacji przez władze sowieckie seminarium polskiego i wywiezieniu na wschód jego profesorów i księży. Do nowo otwartego seminarium, przeznaczonego dla Litwinów i Białorusinów, w zasadzie nie przyjmowano Polaków, ale z powodu braku większej liczby kandydatów białoruskich niektórzy Polacy po zadeklarowaniu, że są Białorusinami, studiowali razem z nami. Co prawda nie trwało to zbyt długo, gdyż z kolei Niemcy zlikwidowali nasze seminarium i naukę trzeba było kontynuować nielegalnie.

Natomiast ostatni rok studiów spędziłem w otoczeniu zdecydowanie polskim w odrodzonym po wojnie polskim seminarium wileńskim, a święcenia kapłańskie otrzymałem z rąk arcybiskupa Jalbryzkowskiego po jego powrocie z zesłania. Wśród ówczesnych księży polskich znajdował się między innymi - dziś już kardynał i arcybiskup - Józef Gulbinowicz. Z polskimi kolegami żyłem w przyjaźni aż do momentu ponownej likwidacji seminarium wileńskiego i przymusowego wyjazdu z Wilna księży i księży polskich. Nas, księży litewskich, przeniesiono wtedy do seminarium kowieńskiego.

Moją pierwszą parafią były Święciany (Švencionys), gdzie dziekanem był wtedy Polak nawrócony na litewskość. Jak to zwykle bywa z konwertytami, niezwykle gorliwie pracował nad umocnieniem litewkości na podległym mu terenie. Za cel życia postawił sobie przywrócenie języka i kultury litewskiej w spolonizowanych Święcianach. Nie tylko sam nauczył się mówić po litewsku, ale także wpływał na swoich parafian, aby uczyli się tego

języka. Między innymi w swojej przedwojennej parafii Strunajcie (Strunajčies), gdzie większość wiernych mówiła po polsku, doprowadził do niemal całkowitego ich powrotu do języka litewskiego. Jego gorliwym współpracownikiem był organista Julius Sintus, komponujący i propagujący litewskie pieśni religijne.

Oczywiście, zachęcali mnie oni do podjęcia pracy w tym samym duchu, więc jako młody wikary włączyłem się energicznie i z głębokim przekonaniem do działań na rzecz umacniania żywiołu litewskiego w okolicach Święcian. Oprócz prowadzenia katechezy organizowałem też dziecięce chóry kościelne, w czym bardzo pomocne okazały się umiejętności wyniesione ze szkoły muzycznej. My, księża litewscy, zajmowaliśmy się na terenie swojej parafii jedynie dziećmi litewskimi. Dzieci polskie uczyły się katechizmu od swoich matek i babek... Bo tak już było, że wtedy w sercach moich parafian nie Chrystusa szukałem, ale Litwina!

Po czterech latach wyczerpanej pracy zostałem przeniesiony ze Święcian i jakiś czas pracowałem w Wilnie, w duszpasterstwie akademickim. Między innymi brałem wtedy udział w pracach tak zwanego Kolegium Ostrobramskiego, gdzie uzupełnialiśmy wiedzę teologiczną i filozoficzną studentów. Kolegium, skupiające głównie studentów pedagogiki, działało w latach 1947-49, a więc w okresie ostrego terroru stalinowskiego. Funkcjonowało ono na dziwnych nieraz zasadach. Bywało i tak, że podając się za grupę komsomolców, odbywaliśmy zajęcia w gmachach uniwersyteckich! Kolegium Ostrobramskie działało także po moim przeniesieniu na nową placówkę do Kołesnik (Kalesininkai). Była to mieszana, poleko-litewska parafia, więc również gorliwie jak w Święcianach pracowałem tam nad umocnieniem litewkości.

W roku 1949 zostałem aresztowany. Zaocznie, bez procesu sądowego, dostałem 10 lat za antysowiecką agitację. Już w trakcie odbywania wyroku przewieziono mnie z powrotem na Litwę i skazano na 25 lat za działalność w ramach wykrytego przez władzę Kolegium Ostrobramskiego. Z takim wyrokiem pojechałem do Workuty. Przenoszony z obozu do obozu znowu zetknąłem się z Polakami - tym razem współwięźniami. Spotykałem zresztą w obozach wielu chrześcijan różnych narodowości i jako ksiądz odprawiałem dla nich Msze Święte, z trudem nieraz pokonując bariery językowe. Starłem się więc poznać języki współwięźniów w zakresie koniecznym do odprawiania Mszy Świętej. W ten sposób nauczyłem się nawet nieco japońskiego.

Silne wrażenie robiły wspólne Msze Święte odprawiane z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy, skupiające: Ukraińców, Polaków, Rosjan, Litwinów, Łotyszów, a bywało że Chińczyków i Japończyków. Podziały narodowe traciły wtedy na znaczeniu i czuło się, że powstaje nowy - Chrystusowy naród,

obejmujący wszystkie skupione tam nacje. Ważne było również to, że odczuwaliśmy silnie wspólnotę duchową łączącą wszystkich katolików, niezależnie od przynależności narodowej. Łatwiej było wtedy żyć w łagrach w zgodzie ze sobą i unikać sporów na tle narodowym. Wyniosłem z obozów przekonanie, że moja wiara nie jest ani litewska, ani polska, ale Chrystusowa.

W obozach i więzieniach przebywałem dziesięć lat, od 1949 do 1959 roku. Później czekało mnie jeszcze jedenaście lat zesłania. Trafiłem na Łotwę do miejscowości Rzeżyca (Rezekne), gdzie mieszkało wielu Polaków. W ten sposób ja, niedawno jeszcze nacjonalista litewski, ponownie znalazłem się w otoczeniu polskim. Tamtejsi Polacy gorliwie uczestniczyli w praktykach religijnych i podkreślali swoją polskość, pomimo że między sobą często rozmawiali już po rosyjsku. Język polski znali na ogół słabo, gdyż na Łotwie nie było ani jednej szkoły polskiej i kościół był praktycznie jedynym miejscem, gdzie skupiała się społeczność polska. Toteż, jak za dawnych lat, ponownie zacząłem organizować chóry kościelne, tyle że już nie litewskie, ale polskie i łatgalskie¹.

Na Łotwie nie mogłem pełnić funkcji kapłańskich, gdyż jako zesłaniec zobowiązany byłem do pracy w miejscowej fabryce. Jednak w niedziele dodatkowo pracowałem jako organista obsługujący polskie i łotewskie nabożeństwa. Tak więc samo życie zadecydowało o tym, że uczyłem teraz Polaków śpiewać ich pieśni religijne, przyczyniając się do podtrzymania języka polskiego. Na Łotwie przebywałem do zakończenia zesłania w 1971 roku, kiedy to powróciłem na Litwę.

Znowu skierowano mnie do pracy w Święcianach, gdzie tym razem jednak zorganizowałem bardzo dobry chór polski. Wówczas wielu Litwinów, szczególnie starych, zaczęło krzyczeć, że polonizują Święciany! Kiedy zaś chciałem zorganizować wspólny, polsko-litewski chór kościelny spotkałem się z oporem i czymś w rodzaju strajku Litwinów. "Nie pójdziemy z Polakami śpiewać"- twierdzili. W Święcianach byłem niespełna rok, gdyż władza świecka wymusiła przeniesienia mnie gdzie indziej, do parafii polskiej. Od tej pory nie miałem już możliwości pracy w parafiach litewskich i kierowany byłem stale do parafii polskich: w Pobrodziu (Pabradie), Podbrzeziu (Paberžė) i w Turgielach (Turgėliai).

ABC: *Wśród tutejszych Polaków częste obsadzanie parafii polskich przez*

^{1/} *Latgalowie - grupa etniczna na Łotwie. Istotnym czynnikiem wyróżniającym ją spośród mieszkańców Łotwy, obok pewnych odrębności językowych, jest przynależność do Kościoła Katolickiego.*

księży Litwinów budzi wiele wątpliwości i niechęci. Czy zjawisko to jest jedynie efektem polityki władz państwowych? Czy nie jest to realizacja pewnej koncepcji biskupów litewskich?

K.V.: Wydaje mi się, że jest to efekt polityki państwowej i biskupiej zarazem. Regułą jest, że Polacy kończący seminarium kowieńskie kierowani są nie na Wileńszczyznę, ale do diecezji Koszedary, na Emudź itp., a Litwini trafiają do parafii polskich, nie znając w wystarczającym stopniu języka swych parafian. Myślę, że musiały być w tej sprawie jakieś rozporządzenia naszych biskupów. Inna rzecz, że praktyki takie chętnie widzi władza państwowa, licząc na to, że młody ksiądz ze słabą znajomością języka swych parafian będzie pracował o wiele mniej skutecznie i łatwiej będzie popadał w konflikty. Z punktu widzenia ateistycznej władzy państwowej obojętne jest, czy dotyczy to księży Litwinów w parafiach polskich, czy też księży polskich na terenach litewskojęzycznych.

Ta dziwna polityka personalna naszych biskupów dotyka czasami bardzo wartościowych księży polskich. Znana była sprawa obecnego proboszcza parafii Św. Ducha w Wilnie, który po święceniach kapiańskich, mimo że pochodzi z Ejszyszek na Wileńszczyźnie, wysłany został do Poniewieża. Szeroko prowadzona akcja na rzecz sprowadzenia go do pracy wśród ludności polskiej długo nie przynosiła efektu, nawet wtedy, gdy władze państwowe wyraziły zgodę na takie przeniesienie. Bez efektu pozostały podpisywane przez tysiące wiernych petycje i prośby do biskupów litewskich. Nie pomagały sugestie i prośby przybywających na Litwę księży i biskupów polskich. Dopiero podczas zjazdu biskupów w Niemczech, wobec wspólnego wystąpienia biskupów polskich i niemieckich, biskup Poniewieża obiecał odesłać tego księdza na Wileńszczyznę. Ale i to nie zakończyło sprawy, gdyż przeciwko takiemu rozwiązaniu zaprotestował przebywający wówczas na zespole biskup, a obecnie już arcybiskup, Stepanavičius. Dopiero w wyniku dalszych starań, prób i petycji parafia Św. Ducha w Wilnie uzyskała polskiego proboszcza. Niestety, nie jest to jedyna tego rodzaju sprawa, gdyż wielu naszych starszych księży i biskupów wychowało się w okresie ostrego konfliktu z Polakami i bywa, że w swych decyzjach kierują się do dzisiaj urazami z czasów Płsudskiego i Smetony.

ABC: *Czy z tego wynika, że inny jest stosunek do Polaków księży młodszej generacji?*

K.V.: Na pewno, chociaż należy pamiętać, że młodzi księża wychowywani są w seminarium kowieńskim przez profesorów należących najczęściej do tej starszej generacji. Jest tam pewna grupa nacjonalistów, która kształtowała

młodzież seminaryjną w ten sposób, że do niedawna niektórzy księżcy składali przysięgę, że nie będą nigdy uczyli się języka polskiego. Takich właśnie młodych kapłanów posyła się na Wileńszczyznę, do mieszanych, polsko- litewskich parafii, gdzie trzeba nie tylko odprawiać Mszę Świętą ale także spowiadać... Bywało, że odmawiali oni spowiedzi nie mówiącym po litewsku...

Jest sprawą powszechnie wiadomą, że chociaż oficjalnie nie istnieją na Litwie zgromadzenia zakonne, to jednak wielu księży jest związanych z różnymi zakonami. Do najsilniejszych należy oczywiście zakon oo. Marianów, ale seminarium duchowne w Kownie jest terenem wpływów jezuitów. Oni też stanowią w kościele litewskim najbardziej antypolsko nastawioną grupę. Niestety, pod ich wpływami znajduje się również Kronika Kościoła Katolickiego na Litwie. Zwracają się oni nie tylko przeciwko Polakom. Sam byłem kiedyś atakowany przez Kronikę za to, że publicznie apelowałem o stworzenie w Wilnie duszpasterstwa w języku białoruskim. Nieładnie jest obmawiać przełożonych, ale myślę, że duże znaczenie ma postawa arcybiskupa...Bo, proszę Pana, arcybiskupi też popełniają błędy! Arcybiskup Jałbrzykowski też był polskim nacjonalistą nienawidzącym Litwinów. Sam tego doświadczyłem w polskim seminarium duchownym w Wilnie. Arcybiskup, który akurat powrócił z obozu sowieckiego, wezwał nas, kilku księży litewskich ostatniego roku, do siebie i odezwał się w taki mniej więcej sposób: "Przepraszam. Proszę wam z naszej diecezji! Wy tu kariery nie zrobicie. Nam Litwini są niepotrzebni!". To też chyba nieładnie, mimo że to arcybiskup... Nasz teraźniejszy arcybiskup Stepanavičius prezentuje podobną postawę.

ABC: *A jak księdzu układają się stosunki z wiernymi w parafiach polskich? Jak tam przyjmowano księdza Litwina?*

K.V.: Od wielu już lat pracuję w parafiach polskich. W Pobrodziu (Pabradie), gdzie Polacy stanowią chyba 75% ludności, a Litwini tylko 25%, nie miałem z tego powodu kłopotów. Odprawiałem tam nabożeństwa po litewsku i po polsku. Gdy brakowało chórzystów litewskich, śpiewali po litewsku Polacy, a kiedy trzeba było, to dzieci litewskie śpiewały po polsku w czasie nabożeństw polskich. Tamtejsze stosunki podobały mi się najbardziej, ale i w pozostałych parafiach polskich nie spotkałem się ze złym przyjęciem z tego powodu, że jestem Litwinem.

ABC: *W jakim stopniu bariera językowa stanowi utrudnienie w pracy Księdza?*

K.V.: No cóż, staram się jakoś temu zaradzić. Kazania przygotowuję na piśmie i w kościele odczytuję je po polsku. Teraz trochę popsulem swoją polszczyznę, gdyż tutaj w Turgielach widać już wpływy języka białoruskiego.

Zresztą, z tyloma językami stykałem się i stykam jednocześnie, że czasami płaczą mi się słowa i wyrażenia. Zdarzyło mi się kiedyś zapomnieć i na pogrzebie księdza wygłosiłem do zgromadzonych na cmentarzu Polaków kazanie po... łotewsku!

ABC: *Jakie jest zdanie Księdza w sprawie dopuszczenia języka polskiego do katedry wileńskiej? Jak zapatruje się Ksiądz na zamysł uczynienia z niej litewskiej świątyni narodowej, gdzie nie ma miejsca dla wiernych innych narodowości?*

K.V.: To wielki błąd naszego arcybiskupa. To jego osobiste polecenie otwiera nowe pole konfliktu i waśni narodowych. Cóż, biskup nasz okazał się niewrażliwy na prośby Polaków.

ABC: *Jak wiem, decyzja arcybiskupa spotkała się z zastrzeżeniami wielu księży litewskich?*

K.V.: Jak sądzę, ponad połowa księży na Wileńszczyźnie to zwolennicy wprowadzenia do katedry także języka polskiego. Natomiast na negatywną decyzję arcybiskupa mieli podobno wpływ niektórzy działacze "Sajudisu". Nawet proboszcz katedry, mój kolega z obozu, ks.Vasilauskas, zgadzał się na odprawianie dla wycieczek polskich Mszy Świętej popołudniowej, ale wywołało to niezadowolenie i zdecydowany zakaz arcybiskupa. Arcybiskup zezwalał na odprawianie takich okazjonalnych Mszy jedynie rano, gdy w katedrze jest najmniej wiernych. Decyzja ta dotyczyła nawet Mszy Świętych odprawianych przez przybywających do Wilna biskupów polskich. Za zgodę na odprawienie po polsku wieczornej Mszy Świętej przez biskupa Materskiego z Radomia, pielgrzymującego do relikwii Sw. Kazimierza, proboszcz katedry dostał od arcybiskupa wielki "naganiaj".

ABC: *Nasza rozmowa nastraja raczej pesymistycznie. Czy widzi Ksiądz możliwość załagodzenia narastającego konfliktu polsko-litewskiego?*

K.V.: Tak, gdyż sądzę, że nie ma dla Litwinów i Polaków innego rozsądnego wyjścia. Stosunki polsko-litewskie muszą ułożyć się w przyszłości inaczej, lepiej niż w minionych kilkudziesięciu latach. Dotyczy to zwłaszcza kościoła litewskiego, dla którego Polska jest przecież matką chrzestną, a matkę chrzestną trzeba szanować!

ABC: *Dziękuję Księdzu za rozmowę.*

Tomas Venclova

LIST OTWARTY DO LITWINÓW I POLAKÓW NA LITWIE *

Dzieją się ostatnio na Litwie rzeczy niezwykłe. Idea praw człowieka oraz praw narodowych, której przez wiele lat broniła garstka dysydentów, narażając się na więzienie, Syberię albo przymusową emigrację, wydała piękny plód. Została własnością całego narodu litewskiego. Wystąpienie w jej obronie stało się naturalnym odruchem setek tysięcy, jeżeli nie milionów obywateli Litwy. Jest to proces rewolucyjny i nieodwracalny.

Naturalnym odruchem władz jest zatrzymywanie tego procesu za każdą cenę. Na dłuższą metę nie może się to udać. Niewykluczone są jednak tymczasowe zwycięstwa imperialistów oraz stalinowców. Używają i będą używali do tego każdej sposobności, kierując się przede wszystkim regułą *divide et impera*, wielokrotnie i z pożytkiem przez nich wypróbowaną właśnie na terenach środkowo- i wschodnioeuropejskich. Nie jest rzeczą trudną do zrozumienia, że będą wykorzystywali do tego również - a może nawet przede wszystkim - szowinistów oraz krótkowzrocznych patriotów, jakich nie brakuje w każdej narodowości. Ludziom tego rodzaju wydaje się, że najlepszym sposobem bronięcia własnych narodowych interesów jest gnębienie narodowości słabszych. Nie rozumieją i najczęściej nie chcą zrozumieć, że naród uciskający inne narody z definicji nie może być narodem wolnym.

Na szczęście nie ma obecnie na Litwie tarć litewsko-żydowskich. Może to brzmieć dziwnie, ale nawet stosunki z rosyjską częścią ludności są w danej chwili lepsze, niż oczekiwano. Sprzyja temu postawa inteligencji rosyjskiej wychowanej przez Andrieja Sacharowa oraz podobnych mu ludzi. Ale niepokoją mnie, tak samo jak wielu Litwinów i Polaków, tarcia litewsko-polskie, wyraźnie przybierające na sile. Jest to naprawdę ostatnia rzecz, której potrzebujemy. Nie może przynieść korzyści nikomu poza wspólnym wrogiem.

W sytuacjach tego rodzaju błędy są zawsze robione przez obie strony. Niemniej jako Litwin uważam za swój obowiązek skoncentrować się na błędach litewskich. Jest to pierwsza i najprostsza reguła dla inteligenta, który

* Przedruk z "Kultury" nr 3/498, 1989, Instytut Literacki, Paryż.

pozuwa się do odpowiedzialności za losy własnego narodu.

Kilka stuleci wspólnych dziejów Litwy i Polski jest oceniane przez Litwinów i Polaków w zupełnie odmienny sposób. Dla Polaków to stulecia wielkie. Obiektywny historyk musi się zgodzić, że ta epoka zawiera dużo kart chlubnych dla obu narodów. Litwini jednak najczęściej przyrnykają na to oczy, zwracając uwagę wyłącznie na polonizację Litwy, która postępowała wtedy niezwykle szybko i w końcu wieku osiemnastego zagroziła Litwinom zniknięciem tożsamości narodowej. Ruch narodowy litewski kształtował się nie tylko w opozycji do Rosjan oraz Niemców, ale także - może przede wszystkim - do Polaków. Chyba nie mogło być inaczej w zaistniałej sytuacji. Sprawa zaostrzyła się w epoce międzywojennej z powodu sporu o Wilno. Niezwykły to wypadek, nawet w skali światowej, żeby stolica jednego narodu była jednocześnie bardzo ważnym ośrodkiem kulturalnym dla drugiego. Niesamowicie trudnym zadaniem jest rozplątywanie takich węzłów - świadczy o tym m.in. przykład Jerozolimy. Eaden z Litwinów nie wąpli - i słusznie - że akcja Żeligowskiego w 1920 roku była sprzeczna z prawem międzynarodowym. Ale jednocześnie musimy przyznać, że Polacy w Wilnie w tych czasach dominowali w sensie demograficznym oraz kulturalnym. Włec musimy starać się zrozumieć także polski punkt widzenia, nawet jeżeli jest to dla Litwina nietatwym zadaniem.

Jest rzeczą niewątpliwą, że w czasach międzywojennych sytuacja Litwinów na Wileńszczyźnie była nie do pozazdroszczenia. Pamiętamy zapędy polonizacyjne Bociańskiego, pamiętamy również niezbyt przyjazną dla Litwinów postawę Kościoła polskiego w tym okresie. Ale należy uznać - co zresztą zrobiła Liga Wolności Litwy w swoim oświadczeniu z 22 listopada 1988 roku - że panowanie polskie na tych terenach, nawet jeżeli pozostawiało bardzo dużo do życzenia, chroniło przez dwadzieścia lat tamtejszą ludność litewską (również białoruską, ukraińską, żydowską) przed znacznie gorszym losem, mianowicie sowietyzacją i stalinizmem.

Uważam, że w chwili obecnej sprawa Wilna oraz Wileńszczyzny jest definitywnie rozwiązana. Miasto jest znów stolicą narodu litewskiego, jest zasiedlone głównie przez Litwinów: dla mnie, tak samo jak dla większości moich ziomków, nie ulega wątpliwości, że z czasem będzie stolicą Litwy niepodległej i demokratycznej. Długoletnia współpraca z niezależnym ruchem polskim upewniła mnie, że Polacy mają do Litwy dużo sympatii i że żaden rozsądny Polak nie wysuwa dziś roszczeń do Wilna (poza niektórymi ludźmi w pokoleniu starszym i najstarszym). Co prawda, byłoby bardzo pomocne w tej sprawie publiczne oświadczenie znanych i odpowiedzialnych działaczy

niezależnego ruchu polskiego: rozwiązały to wiele mitów i rozładowały wiele niepotrzebnych napięć.

Niestety przestarzałe kompleksy, niemądre mity i obawy przed wpływami polskimi wciąż istnieją na Litwie, przybierając niekiedy kształty wręcz patologiczne. Są podtrzymywane przez część starszego pokolenia - ludzi skądinąd poczciwych, ale wychowanych w latach międzywojennych w klimacie antypolskim. Są także z lubością rozdmuchiwane przez władze.

Jednym ze wspomnień historycznych, służących podtrzymywaniu kompleksów, jest napięcie między oddziałami Armii Krajowej a ludnością litewską w czasie ostatniej wojny. Niestety, fakt ten dotychczas nie został naświetlony w sposób naukowy i obiektywny. We wspomnieniach pisanych oraz ustnych z tego okresu przeważają wypowiedzi stronnice, legendy i plotki. Osobiście sądzę, że także wtedy błędy były robione przez obie strony.

Obecnie wielu Litwinów uważa Polaków na Wileńszczyźnie za spolszczonych braci, którzy muszą - czy chcą tego, czy nie - powrócić do języka swych przodków. Nawet gdyby litewskie pochodzenie ich było stuprocentową prawdą - tak jednak nie jest - przymusowa litwinizacja ludzi mówiących po polsku co najmniej od kilku pokoleń jest takim samym niedemokratycznym i niedopuszczalnym procederem, jakim była polonizacja. Nie będę ukrywał, że jako Litwin byłbym raczej szczęśliwy, gdyby niektórzy Polacy, zwłaszcza ci noszący litewskie nazwiska, wybrali język i kulturę litewską, zwiększając tym samym potencjał mojego nielicznego narodu. Ale musi to być proces ściśle dobrowolny (zresztą nawet teraz ten proces odbywa się, chociaż w małej skali).

Nie jestem zadowolony, kiedy wileński "Czerwony Sztandar" (który nie jest pismem polskim, bo jest pismem sowieckim, do tego wydawanym w kiepskiej polszczyźnie), albo jakaś organizacja spod ciemnej gwiazdy występująca przeciwko litewskiemu odrodzeniu narodowemu, prowokuje, podjudza, stara się izolować Polaków od Litwinów. Ale naprawdę przerażają mnie głosy Litwinów - nawet jeśli nie są liczne - którzy domagają się zamykania szkół polskich, likwidowania zespołów sztuki ludowej, występują przeciwko słusznym postulatom autonomii kulturalnej w okolicach, gdzie przeważa ludność polska, zabraniają niesienia flagi biało-czerwonej na równi z litewską, łotewską, estońską w czasie wielkich demonstracji w Wilnie, publicznie porównują Piłsudskiego do Stalina i Hitlera (co jest rzeczą nie tylko śmiertelnie obrażającą Polaków, ale także niesamowicie głupią). Przerażają mnie ludzie, którzy sprzeciwiają się dopuszczeniu mszy

polskiej w katedrze wileńskiej, ostatnio zwróconej wierzącym w wyniku presji całej ludności kraju. Mówimy o "świątyni narodowej", gdzie powinien brzmieć wyłącznie język litewski. Jest to rzeczą skandaliczną, bo samo pojęcie "świątyni narodowej" jest niechrześcijańskie, przeciwne idei braterstwa oraz wspólnego przyznawania się do wartości ponadnarodowych, uniwersalnych. Walczyliśmy długo o dopuszczenie języka litewskiego do prokatedry sejneńskiej - i wygraliśmy. Czy musimy teraz odwdzięczać się za ten gest Kościoła polskiego gestem wyraźnie wrogim?

Często wyczuwa się w tym wszystkim chęć "odpłacania pięknym za nadobne", "wyrównywania rachunków" z epoki międzywojennej - bo Polacy na Litwie są teraz stroną słabszą. Taka postawa w stosunkach między narodami - tak samo jak w stosunkach międzyludzkich - jest bezpłodna, destruktywna i niebezpieczna.

Jako naród silny - czego dowiedliśmy w roku 1988 - musimy zdobyć się na przyznanie, że Wilno i Wileńszczyzna były przez wiele stuleci - i pozostają - terenem co najmniej dwukulturowym. Nie jest to powodem do utyskiwań. Wprost przeciwnie, daje to szansę wspólnego wzbogacenia i wymaga solidarności w walce przeciw totalitaryzmowi.

Wiele lat temu pisałem w dwugłosie z Czesławem Miłoszem, że jeżeli kiedyś zacznie się gnębienie Polaków przez Litwinów, będę pierwszym, który powie "nie". Na szczęście nie jestem pierwszym, bo powiedziała to już Liga Wolności Litwy oraz jeden z przywódców ruchu *Sąjudis*, mój wieloletni przyjaciel Virgilijus Cepaltis. Więc mówię "nie" - wraz z nimi.

25 stycznia 1989

Tomas VENČLOVA

Poniższy tekst autora litewskiego krążył na Wileńszczyźnie w postaci odpisów. Mimo naiwności wydał się nam interesujący jako świadectwo kielkującej, w trudnych warunkach konfliktu narodowościowego, solidarności litewsko-polskiej. Tłumaczenie własne.

Redakcja

...

NARODZINY "SOLIDARNOŚCI" W GULAGU

W latach 1949-59 byłem więźniem w obozach Reczlag, Miniag, Ozierlag i w innych punktach Gulagu, co rok przemierzałem tysiące kilometrów wciąż do nowych obozów i więzień. Tam spotykałem represjonowanych intelektualistów różnych narodowości. Tych ludzi o różnych poglądach politycznych, o różnych wyznaniach, łączyła jedna myśl: jak stworzyć swobodne, szczęśliwe społeczeństwo, bez faszystowskich i stalinowskich obozów - gulagów? Członek wyzwolenczego ruchu Macedonii, pułkownik Mitrowski, przyjaciel i towarzysz walk Josifa Broz-Tito, mawiał, że to bardzo realna możliwość. Tylko trzeba, żeby Europa i światowe supermocarstwa wyrzekły się dyktatury partii i nie słuchały ich niewolniczo. Rządzić powinny nie partie a robotnicy, zjednoczeni w swobodnych związkach zawodowych. Przekonaliśmy się, do czego doprowadziły dyktatury partii. Rezultat rządów partii nacjonalistycznej - Oświęcim i getta. A dyktatura partii internacjonalistyczno-socjalistycznej stworzyła państwo obozów, przymusowej pracy.

Włoch, były proboszcz z Odessy, ks. Pietro Leoni pytał: - A może by nami mogła rządzić popularna na Zachodzie partia chrześcijańsko-demokratyczna, albo chrześcijańsko-socjalistyczna? - Zakończeniem ich dyktatury byłaby światowa inkwizycja! - odpowiadał Gruzin, inżynier Czikaidze. - A dyktatura partii muzułmanów doprowadziłaby do eksterminacji wyznawców innych religii i do światowego terroryzmu - przepowiadał profesor matematyki, leningradczyk - Pimenow. Polak z Wrocławia na zakończenie rozmowy powiedział: - To znaczy, że pozostaje tylko jedno wyjście: stworzyć wolne związki zawodowe. Trzeba, żeby ludzie wszystkich narodowości, wszystkich wyznań, wszystkich ideologii potoczyli się i solidarnie walczyli o wolność, przeciw różnym dyktaturom. My i nasze narody możemy odzyskać swobodę tylko przy pomocy solidarności. Nasz program, nasza konstytucja i nasze hasło jest jedno - solidarność!

I wszyscy trzykrotnie głośno powtarzamy: Solidarumas! Solidarność! Solidarité!

Lecz nagle otwierają się drzwi baraku, wbiegają strażnicy i całe nasze jeszcze nie narodzone stowarzyszenie zostaje umieszczone w karcerze na siedem dni.

Ja i Polak z Wrocławia trafiliśmy do zimnego pokoiku o wielkości szafy. Tam siedem dni spędziliśmy na rozmowie o znaczeniu solidarności Litwinów z Polakami. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że nie wystarczy nam solidarność, czy serdeczna przyjaźń - powinniśmy także spokrewnić się. Przecież my jesteśmy krowni. Dla Litwinów Litwa jest matką, a Polska chrzestną matką. Chrzestną matkę należy kochać i w żaden sposób nie gniewać się i nie bić się z jej wnukami, mieszkającymi razem z nami. Nas łączy wspólna historia, wspólna wiara, wspólny los, wspólne nieszczęścia i radości. Kazem znaleźliśmy się na jednym geograficznym skrzyżowaniu, między ideologicznymi przeciągami Europy Wschodniej i Zachodniej. Między Wschodem i Zachodem powinniśmy być gołąbkem pokoju i swobody, który wzleci nad wszystkie ideologiczne, regionalne i społeczne wiatry. Jednym skrzydłem tego gołębia jest Polska, a drugim Litwa. I oba te skrzydła powinny lecieć jednakowo, solidarnie, inaczej spadniemy do bagna niewoli. Więc Litwini i Polacy powinni być organicznie zjednoczeni i solidarni, szczególnie ci, którzy razem mieszkają na Wileńszczyźnie.

I stał się cud! Gołąb solidarności z karceru w Workucie poleciał aż do Gdańska i dla całego świata zagruchał wiosenną pieśń Swobody i Pokoju. I zaczęło się odrodzenie Polski. Ten gołąbek Pokoju i Swobody już siedzi i na wieży katedry wileńskiej i grucha: "Solidarumas, solidarność!". Słyszac to, ludzie i nawet księża spierają się: "Jak ten gołąbek pokoju nam grucha? Po litewsku, czy po polsku? Jak my mamy modlić się w cudem otworzonej katedrze: po litewsku, czy po polsku?"

I dziecko, patrząc na gołębia, który leci z wieży do drzwi katedry, mówi do proboszcza: - Słuchaj, proboszczuniu, gołąb modli się po litewsku i po polsku, on grucha: "Solidarność, solidarumas". Czy mogę mu rzucić kawałek obwarzanka, który mi przywozila chrzestna mama z Częstochowy?

- Tak, możesz poczęstować gołębia. A gdzie ty, Witku, mieszkasz?

- Koło Ostrej Bramy, gdzie na nas patrzy Litościwa Mateczka.

- Więc rzuć, Witku, gołąbkowi solidarności nie jeden, a dwa kawałki: jeden od litewskich dzieci, drugi od polskich. Niech nasz gołąbek będzie syty: niech głośno grucha litewskie "solidarumas" i polskie "solidarność". Bo on jest gołąbkiem naszej Swobody, a my jesteśmy jego skrzydełkami. Więc razem lećmy wwyż!

Wokół problemu mniejszości niemieckiej w Polsce

Po raz pierwszy zajmujemy się na łamach ABC problematyką mniejszości niemieckiej w Polsce. Temat ten budzi żywe emocje, a także obawy. Podjęliśmy próbę opisania zjawiska. Okazało się to niełatwe, silnie uzależnione od punktu widzenia - tak w sensie światopoglądowym, jak i narodowym, czy nawet geograficznym.

Prezentujemy w niniejszym numerze trzy pierwsze głosy, które wybraliśmy ze względu na ich przeglądowy i uogólniający charakter. Chcemy je traktować jako wstęp do opisu zagadnienia.

Artykuł Zbigniewa Arnholda "Są czy ich nie ma" ukazał się po raz pierwszy w numerze 5 "Samostanowienia". Na naszą prośbę autor uzupełnił go o "Głosę '89". Pozostałe dwa teksty zostały napisane na nasze zamówienie.

Redakcja

...

SĄ, CZY ICH NIE MA ?

Co jakiś czas z gazet dowiadujemy się o kolejnych zakusach "rewanżystów" i "odwetowców" na polską integralność. Ostatnio jakby mniej mówiło się o "zwrocie zagrąbionych ziem", za to na pierwszy plan wysunął się moloch ponad milionowej rzekomo mniejszości niemieckiej w PRL, do opieki nad którą poczuwa się nadreńska stolica. Reakcja przeciętnego Polaka na te wiadomości - o ile w ogóle przejmie się on podsuwany mu przez nudnie agresywny PAP problemem - nie jest, delikatnie mówiąc, przychylna niemieckiemu punktowi widzenia. Przeciętny Polak bowiem wyrósł w przekonaniu, iż Niemców w Polsce

od zakończenia wojny po prostu nie ma. Przekonanie owo argumentować może chociażby opinią wiarygodnych przecież czynników kościelnych, z Prymasem Polski na czele. Nieco bardziej świadomy rzeczy - szczególnie mieszkańców Ziemi Zachodnich - przypomni sobie ruch "łączania rodzin", trwający ze zmiennym nasileniem właściwie od momentu zakończenia deportacji ludności niemieckiej. Kim więc są wyjeżdżający? Odpowiedzi padają różne: to Niemcy, ukrywający się wcześniej w śląskiej albo mazurskiej skórce, Ślązacy etc., którzy nikim innym w gruncie rzeczy nie są (odbija się tu głęboka nieufność do "patriotycznej", laurkowej propagandy "polskości Ziemi Zachodnich i Północnych"), wreszcie sami Polacy - "volkswagendeutsche", w pogoni za lepszym życiem zapierający się własnego narodu. Te różnorodne opinie łączą przekonanie, iż niemieckość w PRL, o ile jest faktem, to wstydlivy balast, przydający się jedynie w wypadku podjęcia starań o wyjazd na Zachód. Ten stan rzeczy uważany jest za naturalny i nikomu nie przyjdzie do głowy uważać tu niemieckie pochodzenie za pozytyw, za atut. Wynika to z zakorzenionej w naszym narodzie świadomości niemieckiej winy czasów ostatniej wojny, świadomości przecież bezrefleksyjnie jednostronnej.

Masowe powojenne wysiedlenia nie rozwiązały bynajmniej niemieckiego problemu etnicznego w zachodniej Polsce. Objęły one przede wszystkim obszary Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego oraz pogranicza "obwodu kaliningradzkiego", czyli rejonu zwartej i wyłącznej osiedlenia żywiołu niemieckiego. Ominęły optujących za Polską Mazurów oraz przede wszystkim Ślązaków opolskich. Wśród tych społeczności Niemcy, zżyci i upodobnieni do otoczenia, mogli ignorować wędrowkę ludów bez porównania łatwiej, niż ich pobratymcy np. znad środkowej Odry, gdzie z małymi wyjątkami stosowano zasadę "autochtoni - odjazd!". Pozostali, gdyż wyjeżdżać do zruinowanych i zgłodniałych Niemiec wcale im się nie paliło. Deportacje ominęły również katowicką, "przedwojenną" część Górnego Śląska. Na byłych jednorodnych etnicznie terenach niemieckich pozostały też izolowane, lecz tworzące w sumie pokaźną, kilkudziesięcioletnią grupę, skupiska Niemców (ich obecność widać było wyraźnie jeszcze w latach siedemdziesiątych, np. w Szklarskiej Porębie). W sumie dawało to w latach sześćdziesiątych co najmniej sto tysięcy Niemców "z krwi i kości", w olbrzymiej większości ukrywających jednak swe pochodzenie. Była to najbardziej zdeintegrowana grupa etniczna w Polsce: jej przedstawiciele, moralnie rozbrojeni kompleksem winy wobec Polaków, prawie zupełnie pozbawieni własnych instytucji kulturalnych, szybko wtapiali się w polskie otoczenie. Emigracja do RFN była nie przyczyną, lecz skutkiem fatalnej sytuacji narodowej polskich Niemców. Zapatrzeni w przeszłość, nieuznawani, przy braku typowo

polskiego doświadczenia "trwania w ucisku", nie potrafili przekazać swej kultury młodemu pokoleniu. Paradoksalnie: wyjeżdżający do Niemiec nie kierowali się w istocie pobudkami innymi niż materialne; niemiecki Zachód imponował im dobrobytem, którego nie mieli, nie zaś rodzimą kulturą, do której dostępu pozbawieni byli tym bardziej. Opisywana tu społeczność, po ostatnim masowym odpływie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, jest dziś nieliczną, wymierającą diasporą ludzi starych.

Fakt istnienia tych ludzi nie stwarza istotnie problemu: ich skromne potrzeby duchowe zaspokaja tak czy inaczej duszpasterstwo w języku rodzimym, funkcjonujące w kilku miastach Dolnego Śląska, oraz własne "towarzystwo społeczno-kulturalne" w Wałbrzychu. Nie mają więc mniej od innych PRL-owskich mniejszości.

Szkopuł w tym, że problemu to nie wyczerpuje. W Polsce żyje nadal liczna rzesza ludności etnicznie polskiej, pozostającej jednak w orbicie niemieckich wpływów cywilizacyjnych. Myślę tu głównie o prawie osiemsettyśmicznej masie Ślązaków opolskich, przed wojną obywateli Rzeszy, a także o milionie ich krewniaków z katowickiej części Górnego Śląska. Gdy ci ostatni, pragnąc osiedlić się nad Renem, udowodnić muszą swą "niemieckość", pierwszym "przysługuje" ona niejako z natury, gdyż prawo RFN uznaje za obywateli wszystkich mieszkańców Niemiec w granicach z 1937 roku (obejmując również ich potomków). Pominąwszy tę, nieistotną w zasadzie różnicę, Ślązaków opolskich i katowickich łączy, poza naturalnym pokrewieństwem, zasadnicza wspólnota podstawowych doświadczeń historycznych.

Pozostali (głównie Mazurzy) tworzą nieliczne, rozproszone skupiska: relikty tych społeczności, które kultywując polski obyczaj przez stulecia, nie oparły się owym "doświadczeniom historycznym" w wieku dwudziestym. Mieszkający zwartą masą nad Odrą Ślązacy należą ciągle do teraźniejszości.

Katolicki lud śląski od pokoleń stykał się z różnymi formami oddziaływania niemieckiej kultury. Najpierw w zniemczonych księstwach piastowskich, stopniowo wchodzących w państwową orbitę habsburskiego kolosa, od połowy zaś XVIII wieku w państwie pruskim. Lud ten pod ciśnieniem świadomej, XIX-wiecznej germanizacji zakrzepł w oporze, co zaowocowało narodzinami polskiej samowiedzy narodowej w społeczeństwie, nie zachowującym w ogóle tradycji państwowości polskiej. Należy o tym pamiętać przy ocenie śląskiej determinacji i siły woli, jak i przy wyjaśnianiu zjawiska tzw. pogranicza narodowego.

Od końca XIX wieku Górny Śląsk stał się widownią nowych, przebiegających nieraz przez najbliższą rodzinę podziałów. Gdy jedni poczuli się do

poliskości, drudzy wyrastali na "dobrych Niemców". Inni wreszcie - a byli oni na tej ziemi dość liczni - nie określali się narodowo, poprzestając na deklaracji swojej "śląskości". W epokę walki o granice odradzającej się Polski, stabilizacji i kryzysu, decydującym motywem ich optowania były względy ekonomiczne. Ten charakterystyczny rys tutejszych stosunków, znany pod nazwą "chacharstwa", opisany został wnikliwie w pracy Eugeniusza Kopcia "My i oni na polskim Śląsku". Nie świadczył on bynajmniej o jakimś tutejszym narodowym zapóźnieniu, przeciwnie, podkreślał na zasadzie kontrpunktu olbrzymi wysiłek tego ludu na jego drodze ku polskości. "Chacharzy" stanowili wyraźną mniejszość wśród śląskiego społeczeństwa. Nie należy więc demonizować ich roli: w warunkach miejscowych byli oni produktem ubocznym normalnego procesu emancypacji narodowej upośledzonej politycznie grupy etnicznej, w pojedynczych przypadkach mogącym być nawet pożytecznym łącznikiem pomiędzy zantagonizowanymi kulturami.

Wszystkie trzy grupy łączyła wszakże silna więź cywilizacyjna; nawet skrajnie antyniemiecki Ślązak z przedwojennego "Związku Obrony Kresów Zachodnich" miał w sposobie bycia więcej cech wspólnych ze swym pobratymcem z "Volksbundu", niż z rodakiem z Wileńszczyzny.

Druga wojna światowa wpisała się mocno na listę doświadczeń mieszkańców Górnego Śląska. Na jego "polskiej" części zmuszeni do przyjęcia "niemieckiej listy narodowej" trwali w biernym a także czynnym, AK-owskim oporze; na "niemieckiej" duch polski zszedł głęboko pod ziemię, karmiąc się miejscową odrębnością. Działacze polscy po obydwu stronach przedwojennej granicy ginęli w obozach, reszta wykrwawiała się pod Moskwą i Stalingradem. Przełomowy stał się dopiero rok 1945, przynoszący za sobą najczarniejsze ze śląskich doświadczeń.

Krajowa, niekoniecznie oficjalna publicystyka tłumaczy je na ogół różbójnictwem szabrowników. Czyniąc tak krzywdzi Polaków, gdyż po przejściu frontu nie zjawiali się tu przecież sami złodzieje i bandyci. W rzeczywistości szaber był tylko dekoracją obrazu terroru, jaki nad Odrą zainaugurowała zwycięska Armia Czerwona. Dla umundurowanych, lecz zanarchizowanych, często półdzikich niewolników systemu sowieckiego osiągnięcie "wrażeń rubieży", oszałamiającej nieznanym dotychczas dostatkami, oznaczało zupełne pofolgowanie częściowo hamowanym dotąd chętkom do okrucieństw i grabieży. I "pohulali". Do dziś stałym wątkiem wojennych wspomnień autochtonów spod Opola czy Raciborza są wizje straszliwych gwałtów na ludności cywilnej, epatujące obrazami wymyślnego znęcania się nad ofiarami. Domyślać się można, co czuli trzeźwi, pragmatyczni z natury Górnoślązacy, świadkowie tych ekscesów zwyrodniałej

wyobraźni. Potem nadeszli Polacy, dla jednych oczekiwani rodacy, dla innych wrogowie, dla innych znowu po prostu obcy. Reprezentowali komunistyczną władzę, dla Opolan była jednak pierwszą znaną im władzą polską. Szybko werbuje ona w swe szeregi najłatwiejsze do pozyskania elementy konformistyczne, a więc poprostu... byłych hitlerowców, zajmujących dotąd nierzadko eksponowane urzędy w lokalnych strukturach NSDAP. Włązało się to z - delikatnie mówiąc - dyskryminowaniem autentycznie polskich działaczy miejscowych. Wszystko na tle bezprzykładnego ucisku i rabunku autochtonicznej ludności, dokonywanego przez przybywających tu, rządnych odwetu na "Szwabach" mieszkańców Polski centralnej. Tak dla wielu spośród Górnolązaków wyglądał pierwszy kontakt z "Macierzą". Patriarchalni i bogobojni o czymś podobnym nie słyszeli od czasów XVIII-wiecznych wojen śląskich: z doświadczeniem roku 1945 nie da się wszak porównać ani prędkiego przejścia Napoleona, ani krwawego, lecz nie tak tragicznego zmagania trzech powstań.

Niebawem nadeszły lata nocy stalinowskiej. Były one kolejnym szokiem dla solidnych, wychowanych w etosie pracy "Karlików"; po raz pierwszy zetknęli się z systemem, który praktycznie karał za dobrą robotę, wspierając bałagan i marnotrawstwo. Dla ludzi o wielopokoleniowym poczuciuobywatelskim była to rzecz nie do przyjęcia. Rozgoryczeni, zapiekli w niechęci do komunizmu, negację "nowego" wyrażali w sposób dla nich najprostszy i najbardziej zrozumiały - ucieczką w niemieckość. Była to demonstracja, lecz także azyl, umożliwiający oddzielenie się od wszystkiego, co składało się na smutną teraźniejszość.

W tym czasie Zachodnie Niemcy konsumowały już owoce "cudu Adenauera" i wielu w Polsce przypomniało sobie o bogatej "ojczyźnie".

Górnoląski rok 1956 to epoka nieśmiałych rozrachunków. W miejsce wychodźczego strumienia ruszyła wielka odwilżowa fala wyjazdów do RFN. W latach 1956-58 "połączyło się z rodzinami" prawie trzysta tysięcy mieszkańców Ziemi Zachodnich.

Oto pachnący jeszcze Październikiem numer katowicko-opolskiego tygodnika "Przemiany" z 1967 roku. Reporter opisuje w nim niedalekie od Gliwic Pławnowice, których mieszkańcy w 95% są autochtonami. Stonowane autocenzurą zdania mówią jednak dostatecznie dużo. Kierownik miejscowego PGR-u opowiada o współmieszkańcach: "Pierończyk (syn powstańca) jest zrażony do Polski i chce wyjechać do Niemiec... Młodzież wydziwla, zwłaszcza gdy łyknie wódki. Wtedy niemiecką piosenkę słychać często... Radzikiem nie afiszować się tak z niemieczyzną, przecież umie po polsku. Przeca rzekłbyś choć od oka parę słów... Ale taki, jak się już przestawi, to całą parą.

Jakby go jakiś robak gryził wewnątrz..."

Mimo wzmożonego ruchu wyjazdowego końca lat pięćdziesiątych, większość Ślązaków pozostała na ojcowiznie, utrzymując przewagę na Opolszczyźnie w następnym dziesięcioleciu. Stopniowo też pod wpływem gomułkowskiej "małej stabilizacji" słabły nastroje antykomunistyczne i antypolskie. RFN pozostawała wciąż "rajem", lecz jego wizja stawała się powoli naturalnym składnikiem górnośląskiego krajobrazu. Liczba emigrantów spadła do poziomu sprzed 1958 roku.

Układ z grudnia 1970 roku, w którym rząd niemiecki uznawał zachodnie granice PRL, zachwiał nadziejami tych, którzy jeszcze za życia spodziewali się tu powrotu starych, przedwojennych porządków. Fala wyjazdów znowu nieco się podniosła... Kiedy w pohelskiej aurze "detente" Edward Gierk i kanclerz Schmidt podpisali w październiku 1975 roku porozumienie, mocą którego władze PRL zezwoliły na rozszerzenie akcji "łączenia rodzin", ustalając sumaryczną liczbę wyjeżdżających na 125 tysięcy osób, rozpoczął się nowy exodus nad Ren i Wezere. Wymieniona granica liczbowa przekroczona została już po trzech latach, jednak wychodzący strumień ani przez to nie wysechł, ani specjalnie nawet nie zmalał, zasilany malkontentami burzliwych i kryzysowych lat osiemdziesiątych. Płynie on nieprzerwanie do dziś, wysyłając z Polski średnio dwadzieścia pięć tysięcy osób na rok.

W centrum Raciborza stoi pomnik Arki Bożka, znanego jako animator polskości niemieczonego przez hitlerowców Górnego Śląska. Gest wyciągniętych rąk postaci działacza tłumaczy miejscowi swoiście: on woła "Wypuście mnie!" - jego żona i córki znalazły się w RFN... Władze w Bonn całkiem niedawno ogłosiły statystykę imigrujących po wojnie rodaków. Okazało się, że od roku 1950 do maja 1987 roku przyjechało ich z Polski 626 tysięcy. Liczba ta w czasach, bądź co bądź pokojowych, mówi sama za siebie. Porównując dwie wielkie fale emigracyjne - lat 1956-58 i obecną - stwierdzamy jednak, że jeśli w pierwszej dominowały osoby z pewnym niezaprzeczalnie niemieckim bagażem cywilizacyjnym, w drugiej nikną one wśród przedstawicieli młodego, wychowanego w PRL-owskich obyczajach pokolenia. O ileż trudniej jest tym młodym utożsamiać się z kuszącym dobrobytem, lecz tym bardziej obcym w gruncie rzeczy społeczeństwem... Mówimy o nich "volkswagendeutsche". Niemcy zaś nazywają ich "Wasserpollacken".

Krach gierkowskiej koncepcji "społeczeństwa konsumentów" zaowocował wzrostem nastrojów proniemieckich. Nie jest to zjawisko dziwne, ani - z polskiego nawet punktu widzenia - hańbiące, czy choćby tylko deprecjonujące patriotyzm albo wyrobienie obywatelskie Ślązaka, jeśli zważy się

naszkieowaną tu drogę rozwoju jego świadomości. Pamiętać trzeba o odmiennym od warszawskiego punkcie spojrzenia na polską historię, o diametralnie różnej od warszawskiej skali doświadczeń. Pamiętać należy wreszcie i o tym, że poczucie narodowe nie jest dane z góry ani jednostkom, ani nawet niektórym społeczeństwom.

Wbrew zgodnym deklaracjom komunistów i hierarchii polskiego Kościoła niemieckość, jak fantom, ukrywa się w milionowej masie autochtonów Ziemi Zachodnich, katowickiego Śląska, a w pewnym stopniu nawet Kaszub. Co jakis czas tu i ówdzie ujawnia swe istnienie. Wiadomo jak trudną jest walka z czymś, czego nie ma... By wygrać ją dla Polski, trzeba by wejść w dusze tych ludzi, zbadać zasoby cywilizacyjnego i kulturowego dziedzictwa, wespół z nieodłącznymi odeń emocjami politycznymi, podbudowanymi na ogół zwykłym rachunkiem ekonomicznym. Krążący nad Odrą upiór germanizmu stworzony jest także z próżni, którą jest częsty na tej ziemi brak samoświadomości narodowej, dziedzictwo czasów przedemancypacyjnych, pomimo kilku pokoleń tak intensywnie indoktrynowanych - w przeciwnych zresztą kierunkach,

Niezależnie od koniunktur politycznych powiedzieć sobie należy, że sylwetka Ślązaka w pewnej mierze ukształtowała się pod wpływem niemieckiej kultury. Wypieranie się tego jest objawem polskiego uczulenia na sprawy jednego narodu, wobec którego żyjemy "kompleks kolonialny". Gdy on wygaśnie, stwierdzimy może, że nie ma nic złego w przyjmowaniu wzorców kulturowych... nawet od Niemców. Nie będzie wtedy oburzać gromkie "Gluckauf!", starodawne górnicze pozdrowienie, z jakim duszpasterz Zagłębia Ruhry, biskup Franz Hengsbach zwrócił się do pobożnej śląskiej braci w piekarskim sanktuarium. Odpowiedź zebranych była chóralna.

Roszków to mała wioska za Raciborzem, wciśnięta między brzeg Odry a granicę z Czechosłowacją. Od paru lat znana jest dzięki mieszkającemu tu Norbertowi Gaidzie. Gaida to popularne na Górnym Śląsku nazwisko, spotykane zarówno u "chacharów", jak i zagorzałych Polaków, i "solidarnościowców". Roszkowski jego nosiciel od dawna znany był w okolicy jako osoba daleka od ukrywania swej niemieckiej świadomości. Dziwna, nietypowa to w Polsce niemieckość, bo wyrażająca się agitacją za pozostaniem na "ziemi ojców". On to był inicjatorem wystosowanego na jesień 1984 roku do Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach podania o zarejestrowanie Stowarzyszenia Niemców. W dokumencie tym znajdujemy naiwną w swej szczerości deklarację: "W trosce o potomnych pragniemy zapewnić im możliwość kultywowania kultury, języka i tradycji narodowych naszych przodków". Sformułowanie dość nieszczęśliwe w swej dwuznaczności, jeśli zważymy, jakim językiem mówili przodkowie podpisanych pod dokumentem Gaidów, Materzoków czy

Dziedzioczków... Gdzie indziej znów pojawia się argument, iż "funkcjonowanie tego stowarzyszenia zahamuje falę wyjazdów".

Garstka sygnatariuszy tego pisma - mieszkańców Roszkowa i okolicznych miejscowości - to niewiele. Sądzę jednak, że wyłoniony na światło dzienne wierzchołek niemieckiej góry lodowej mógł objawić się właśnie tam, w interiorze czysto autochtonicznego środowiska. Nie zapominajmy, że taka deklaracja, w dodatku składana przez ludzi o czysto słowiańskich nazwiskach, włączyć się musi w naszym pięknym kraju z pewną cywilną odwagą. A najłatwiej o nią w otoczeniu najbliższym, co najmniej... neutralnym. Determinacja Gaidy, tego - trawersując Hemara - "Niemca amatora", nie dziwi, jeśli uprzytomnimy sobie, że na Śląsku Opolskim, gdzie w latach sześćdziesiątych autochtoni stanowili jeszcze 60-procentową większość, obecnie, po gierkowskich targach lat siedemdziesiątych, proporcje etniczne ludności starej do napływowej przyjęły stan chwiejnej równowagi: pół na pół. Aczkolwiek przeciętna śląska rodzina, jako bardziej konserwatywna i spoista od przyjezdnej, jest od tej ostatniej liczniejsza, to jednak, sądząc "na oko", emigracja w najlepszym wypadku niweczy przyrost naturalny autochtonicznej populacji.

Komuniści nie próbują nawet powstrzymać tego pętoku. Nie zależy im na obecności "obcego ciała" w organizmie PRL choćby nawet przedstawiało ono sobą wartości pracowitości i dyscypliny. Tym bardziej nie zależy im na "kultywowaniu kultury, języka i narodowych tradycji" niemieckich nad Odrą. Podanie Gaidy i towarzyszy oczywiście odrzucono.

Wykładnię niemieckiej polityki polskiego Kościoła przedstawił w czerwcu 1985 roku prymas Giemp w wywiadzie, który dla hamburskiego "Die Zeit" przeprowadził z nim specjalista od zagadnień katolicyzmu w "demokracjach ludowych", Hansjakob Stehle. Wspominając o stanowisku zachodniemieckiej chadeckiej, domagającej się stworzenia przez polski Kościół niemieckojęzycznej struktury duszpasterskiej, Prymas konstatuje, iż realizacja tego postulatu spowodowałaby utrudnienie procesu integracji wiernych, których niemieckość nie jest jednak bezdyskusyjna. "Czynnik budzący w nich niemiecką świadomość narodową powstaje z odrzucenia systemu komunistycznego, z problemu wolności i dobrobytu". "Rewolucyjna gadanina" wyolbrzymia problem i burzy z trudem budowany pokój.

Nie można się dziwić, że wypowiedź Prymasa Polski wywołała w Republice Federalnej dość duże poruszenie. Dominowały nastroje polemiczne i protesty, szczególnie, co zrozumiałe, ze strony organizacji wysiedleńczych. Odbijało od nich stanowisko Związku Katolików Bawarskich, opublikowane w oświadczeniu, w którym czytamy, iż ~~stanowi~~ Giemp, aczkolwiek nie z

niemieckiego punktu widzenia, zwrócił jednak uwagę na "problem niemiecki w Polsce". Oceny tej nie należałoby lekceważyć tym bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę zasługi jej autora w budowaniu polsko-niemieckiego porozumienia. "Z tego tytułu naraził się on swego czasu na ostrą krytykę w swoim kraju, kiedy na Zjeździe Katolików w Monachium wziął udział w nabożeństwie Niemców z Gdańska i Prus Wschodnich". Sprawa pojednania "przedstawia tak wielką wartość, iż nie wolno jej narażać na niebezpieczeństwo poprzez głośne formułowanie roszczeń prawnych, niemożliwych dziś do rozwiązania". Cytowany dokument wyraża troskę o przyszłość europejskiej wspólnoty narodów, akcentuje też mocno ponadnarodową łączność eklezjalną. Nie znalazł on niestety, swego odpowiednika nad Wisłą, gdzie katolicyzm jest tak bardzo polski.

W emigracyjnym "Kontakcie" (nr 2 ze stycznia 1986 roku) M. Rybiński poddaje krytyce stanowisko Prymasa. Pisze o niezbywalnych prawach ludzkich także dla Niemców w Polsce, o prawie utrzymywania i rozwijania własnej tożsamości, które nie muszą być "utrudnieniem integracji". Prawo to, respektowane przynajmniej werbalnie przez polskie społeczeństwo, realizować się powinno także w funkcjonowaniu duszpasterstwa w języku niemieckim.

Artykuł Rybińskiego, niezmiernie ważny ze względu na poruszone w nim chyba po raz pierwszy przez Polaka tak istotne problemy, cechuje jednak zasadnicze niezrozumienie kontekstu działalności polskiego Kościoła. Żądanie praw dla mniejszości niemieckiej jest niewątpliwie słuszne, nawet, jeśli korzystać z nich miałby przede wszystkim "Gaidowie". Opcja narodowa jest rzeczą swobodnego sumienia i nic na to nie poradzimy! Wyobraźmy sobie jednak, iż Kościół egzekwuje tę zasadę od razu i w całej rozciągłości. Trudno odgadnąć nie rozpoznane w większości potrzeby, lecz można sobie wyobrazić, że skończyć musiałyby się to wprowadzeniem nabożeństw niemieckich do kilkuset kościołów na Górnym Śląsku i Warmii. Wyobraźmy teraz sobie, jak takim posunięciem Kościół "ustawiłby się do bicia" wobec komunistów, a także ... własnego narodu! Myśl Prymasa, dającą odczytać się między wierszami cytowanego wywiadu, streścić można chyba w słowach: nie zabraniać (przypominam - niemieckich mszy dla Niemców etnicznych), lecz rozsądnie hamować żądania niemieckie, jeśli oparte są one na doraźnym, emocjonalnym wyborze. Niemczenie się śląskich autochtonów jest wszak pochodną "odrzućcia systemu komunistycznego", a przecież komunizm kiedyś się skończy, pozostanie zaś - zapewne - Polska, niekoniecznie germanizująca ich tak, jak dziś robi to PRL. Ta droga "ograniczonej życzliwości" wydaje się w aktualnych warunkach najkorzystniejsza dla sprawy porozumienia polsko-niemieckiego.

Minimum, jakie z naszej strony pozostaje do zrobienia, to rehabilitacja tych ludzi w zbiorowej świadomości Polaków, pozwalająca im na nieskrępowane wyrażanie swych sympatii bez posądzania o "hitleryzm" albo "rewizjonizm". Jednym słowem, uznanie w polskich Niemcach - bez względu na ich rodowód - ludzi. Dopóki żyje pokolenie, pamiętające okropności wojny i okupacji, dopóki straszak antyniemiecki, żywiony tradycyjnymi fobiami części naszego społeczeństwa, jest filarem panowania komunistów w tym kraju, odmiana taka jest chyba niemożliwa. Dorastają wszak młodzi, nie mający doświadczeń wojennych, tym więcej zależy więc tu od wychowania w duchu porozumienia. Jak dotąd polscy Niemcy pokutują ciągle za grzechy swych ojców. T. Biedzki, autor wydanego masowo reportażu o "Ślązakach i Schlesierach", nie widzi problemu: autochtoni Górnego Śląska uważają się za Polaków, Niemców zaś właściwie już nie ma, cały kłopot sprowadza się jedynie do istnienia wychodźstwa. Uważny czytelnik dostrzeże jednak pewną niekonsekwencję: Biedzki, cytując opinię "jednego z nielicznych" pozostałych Niemców zaznacza, iż interlokutor prosi o nie podawanie nazwiska, "bo wielu jego dzisiejszych sąsiadów po prostu nie wie, że jest Niemcem". Otóż to! Dopóki zdarzać się będą takie reakcje, dopóty mówić będzie można o nienormalności sytuacji społecznej na Ziemiach Zachodnich. Podobnie, póki żyje tam choć jeden Niemiec, czy wypada nam, dumnym z naszej tolerancji, pisać i mówić o kulturze jego narodu jako o "krzyżackiej hydrze", dławiącej życie Śląska, Pomorza czy Mazur? Dziś już nie do pomyślenia jest tekst drukowany czy powielany, który pragnąc zyskać powszechną akceptację głosiłby podobne poglądy np. o kulturze Łemków w Beskidach. Nasz "duch jagielloński" skłania się widzieć tylko w jednym kierunku... A przecież Ziemię Zachodnią to - w powyższym sensie - nadal także ziemie niemieckie. I pozostaną one takimi, dopóki w ich krajobrazie widnieć będą gotyckie wieże ratuszów i kościołów.

Zbigniew Arnhold

GLOSSA '89

Gdy pisałem tamten tekst w roku 1987, fala wyjazdów przesiedleńczych polskich Niemców, określana przeze mnie na średnio dwadzieścia pięć tysięcy osób na rok, zaczęła się już podnosić. Katastrofalny stan krajowej gospodarki, beznadziejna sytuacja polityczna - to wszystko przynosiło widome owoce. W lecie następnego roku tempo emigracji przybrało jeszcze na

sile: w samym gorącym, strajkowym sierpniu wyjechało z Polski - jako Niemcy - dwadzieścia tysięcy! Na Śląsku przybrało to formę masowej, bez przesady panicznej ucieczki, pustoszącej wręcz niektóre obszary regionu, całe wydziały niejednej huty czy fabryki. W wielu miejscowościach Opolszczyzny rok 1988 zaznaczył się ubytkiem 10% mieszkańców. W ciągu tegoż roku nad Ren przybyło dalszych 130 tysięcy "Niemców z Polski"; w obecnym przybędzie ich zapewne jeszcze więcej... Ten wzmożony exodus powoduje lekkie przerażenie Bonn. Ekipa kanclerza Kohla, prowadząc kolejne już rozmowy z Warszawą na temat odkładanej wciąż wizyty szefa rządu federalnego nalega, by strona polska uznała istnienie niemieckiej mniejszości, legalizując jej instytucjonalne przedstawicielstwo, którego istnienie miałoby stanowić pewną alternatywę dla wyjeżdżających.

Jak dotąd nie ma okazji do sprawdzenia słuszności tej kalkulacji. Polscy komuniści, choć lasi na zachodniemieckie kredyty, nie odważyli się na grę *va banque*, nadal utrzymując, że wymysłem jest niemiecka kwestia mniejszościowa nad Odrą, realny jest za to **w y i ą c z n i e** zachodniemiecki rewizjonizm graniczny, którym w maju tego roku straszył swych partyjnych towarzyszy naczelny "Trybuna Opolskiej", przemawiając na konferencji PZPR w Warszawie. Jednocześnie nie robią nic, by wyjść naprzeciw problemowi masowej emigracji, czy wreszcie swoistej neogermanizacji Górnego Śląska. We wrześniu ubiegłego roku zniesiono co prawda zakaz nauczania języka niemieckiego w szkołach średnich Bytomia, Zabrze, Gliwic czy Opola, nie odegrało to jednak oczekiwanej roli: przeciążone programem - jak wszędzie - licea nie decydują się na wprowadzenie dodatkowego przedmiotu.

Bieżący rok jest za to świadkiem nowego zjawiska: oto w setkach domów miast i wsi Opolszczyzny pojawiają się listy, których sygnatariusze deklarują swe niemieckie pochodzenie. Nikt ich do tego nie zmusza, zbierający podpisy nie chodzą po domach wiedząc, że uprawianie agitacji mogłoby narazić ich na kłopoty. Ogółem do sierpnia zebrano w ten sposób ćwierć miliona deklaracji, co jest liczbą szokującą zważywszy, jeszcze w ubiegłym roku podobną opcję wybrałoby nie więcej niż kilkaset osób. Ta masowa akcja wesprzeć ma starania o rejestrację niemieckiego towarzystwa społeczno-kulturalnego, zawiązanego przed kilkoma miesiącami z inicjatywy działaczy lokalnych ośrodków mniejszościowych. Jej zasięg powiększa się, niemieckie listy podpisywane są w kolejnych skupiskach autochtonicznej ludności Ziemi Zachodnich. W lipcu sąd opolski odmówił rejestracji stowarzyszenia, co wywołało liczne komentarze w Republice Federalnej, w Polsce natomiast przeszło bez echa.

Takie publiczne manifestowanie niemieckości, nie związane przecież - przynajmniej bezpośrednio - z wnioskiem o wyjazd, nadaje problemowi narodowościowemu Śląska Opolskiego nową jakość. Niemiecki fantom, o którym pisałem przed dwoma laty, począł jak gdyby wynurzać się z mgły. Wiadomo jednak, jak zwodnicze potrafią być deklaracje, składane przez przedstawicieli kulturowego pogranicza - na tej zasadzie mniejszość duńska w niemieckim Szlezwiku rozrosła się kilkakrotnie w powojennych latach okupacji brytyjskiej i powszechnego niedostatku. Dziś, gdy od trzydziestu pięciu lat nikt w RFN nie wtrąca się w to, ilu Szlezwiczów pragnie być Duńczykami, liczebność tych ostatnich zmalała do dawnego, przedwojennego poziomu.

Podobnie to, co dzieje się dziś na Śląsku Opolskim, świadczy raczej o skali rozgoroczenia jego rdzennych mieszkańców PRL-owską rzeczywistością, co jak wiadomo jest miernikiem doraźnym, więc niepewnym przy jakichkolwiek poważnych szacunkach narodowościowych.

Z drugiej strony pamiętać należy o tym, że nie wolno nam kwestionować prawa kogokolwiek do nazywania się Niemcem, tak jak nie powinniśmy zastanawiać się, ilu naprawdę Turków znajduje się wśród emigrujących z Bułgarii muzułmanów. Jeżeli zatem pytam, jakie pobudki kierowały ludźmi składającymi w Polsce deklaracje niemieckości, kieruje mną badawcza ciekawość, nie zaś jakiegokolwiek intencje polityczne. A te leżą zarówno u podstaw twierdzenia, że ostatni Niemcy wyjechali stąd "poczdamskimi" pociągami, jak i zachodniemieckiej tezy o istnieniu w Polsce "milionowej mniejszości", tezy grzeszącej notorycznym niezrozumieniem samego pojęcia narodowości.

Pamiętając o wszystkich "ale", weźmy się za bary z upiorem. Jak wiadomo, postanowienia umowy poczdamskiej mówiły między innymi o wysiedleniu z Polski wszystkich Niemców. Władze polskie, realizując jej zapis, równoległe do akcji wysiedlania ludności niemieckiej przeprowadzały w latach 1945-1950 tzw. weryfikację narodowościową rodzimej ludności Ziem Zachodnich, by oddzielić w ten sposób autochtonicznych Polaków od przeznaczonych do deportacji Niemców. Na Śląsku Opolskim, gdzie rodzimi Polacy byli najliczniejsi, "zweryfikowano" ponad 850 tysięcy osób. J. Miszał w swojej rozprawie poświęconej akcji weryfikacyjnej na tym terenie stwierdził, że wśród osób urzędowo uznanych za Polaków znalazło się "co najmniej 77 tysięcy Niemców". Szacunek ten wydaje się - mówiąc ogólnie - bardzo ostrożny. Przedwojenną Prowinz Oberschlesien zamieszkiwało, jak obliczają A. Brożek i M. Orzechowski, około 750 tysięcy Polaków lub osób polskiego pochodzenia. Ilu z nich żyło na objętej "weryfikacją" Opolszczyźnie?

Wiadomo, że około 50 tysięcy Ślązaków zginęło na frontach II wojny, nie wróciła do domów pewna część ewakuujących się przed Rosjanami, część padła ofiarą rzezi dokonanej przez wchodzącą armię sowiecką, dziesiątki tysięcy zesłano do kopalń Workuty i Syberii. Nie zapominajmy też o polskich Ślązakach deportowanych stąd po roku 1945 jako Niemcy (bo byli i tacy). Uwzględniając wszystkie powyższe ubytki, śmiało można powiedzieć, iż na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych na Śląsku Opolskim nie mogło żyć więcej niż 650 tysięcy ludności pochodzenia polskiego. Znacząco ni mniej ni więcej, że zweryfikowano tu co najmniej 200 tysięcy rdzennych Niemców, którzy stanowili jedną czwartą "patentowych Polaków" Opolszczyzny. To jednak nie wszystko: jak ustalili A. Brożek i S. Banasiak, w 1950 roku mieszkało jeszcze w Polsce 125 do 160 tysięcy Niemców nie objętych ani przesiedleniami, ani weryfikacją. Na pewno nie będzie przesadą stwierdzenie, że popoczdamskie przesiedlenia nie objęły w skali ogólnopolskiej 400 tysięcy Niemców. Do liczby tej należałoby wreszcie doliczyć zgermanizowanych Ślązaków, Pomorzan i Mazurów. Tak było do akcji "łączenia rodzin" w latach 1955-58.

Podczas "odwłży" przyznano, co prawda, że nie wszyscy Niemcy wyjechali z Polski... określając liczbę tych, co pozostali na 3 tysiące osób. Jednocześnie wydawano jednak "Die Arbeiterstimme", niemieckojęzyczne czasopismo o wielotysięcznym nakładzie.

Oczywistym jest, że po z górą trzydziestu latach, obejmujących dwie wielkie fale wychodźstwa(?), a także procesy adaptacji i dezintegracji, podane tu wyliczenia nie mogą być żadną podstawą do analogicznych szacunków na dziś. Publikowane przez Bonn dokładne dane na temat przybyszów z Polski odzwierciedlają przecież jedynie niemiecki prawniczy punkt widzenia tego problemu, nic więc nie mówią o rzeczywistej narodowości emigrantów.

Statystyk takich nie prowadzą też władze kościelne diecezji opolskiej, której granice pokrywają się z przedwojennymi rubieżami niemieckiego Górnego Śląska. Do niedawna nie odprawiano tu w ogóle niemieckojęzycznych nabożeństw. Dopiero w tym roku, w wyborczą niedzielę 4 czerwca modlitwa "Vater Unser" popłynęła sprzed ołtarza pielgrzymkowego św. Anny. Ta precedensowa decyzja władz diecezjalnych podyktowana była prośbami licznych wiernych. Od lat natomiast na terenie Opolszczyzny istnieje praktyka niemieckiej spowiedzi, wszędzie tam, gdzie życzy sobie tego penitent. Fakt to istotny, jeśli się zważy, że ten ostatni, rozmawiając z księdzem jak najbardziej poufnie, nie ulega tu żadnym naciskom co do wyboru języka. To, czy używa więc przy spowiedzi takiego, czy innego, świadczy o jego swobodnym wyborze. To cenna wskazówka przy badaniu wpływów niemieczyny na

Śląsku. Pamiętać jednak trzeba, że chęć nie jest równoznaczna ze znajomością. "Niemieckojęzyczni" penitenci na ogół nie znają chyba języka, który wybrali przy spowiedzi, nie bez trudu zapewne powtarzając zapamiętane z dzieciństwa formułki (znajomy proboszcz cytował mi parafianina zwierzającego się "ich sah die brzidkde filmy"). Istotna jest tu jednak, jako interesujące nas kryterium subiektywne deklaracja woli: ludzie ci, mogąc wybrać, wybierają język niemiecki, dając niewątpliwe świadectwo temu, że bliższy on jest ich duchowości niż polski. Tak samo postępują liczni nasi rodacy z Białorusi czy Ukrainy, używający "od święta" mowy polskiej, na co dzieł zaś mówiący "po prostemu", czyli językiem miejscowym.

Z wrywkowych, lecz chyba dość reprezentatywnych danych, jakie na ten temat udało mi się uzyskać, wynika, że ludzie tacy stanowią kilkanaście procent wiernych diecezji opolskiej. Odpowiada to liczbie niemieckojęzycznych nagrobków (nowych!) na cmentarzach tego regionu. O ile wybór niemieckiej spowiedzi można wytłumaczyć zadawnionym przyzwyczajeniem penitenta do stosowania "przedwojennych" formułek katechetycznych, o tyle stosowanie niemieckich inskrypcji (kutych gotyką frakturą) nie jest już kwestią nawyku. Jeżeli zawarte tu spostrzeżenia są słuszne, można by przyjąć, że na Śląsku Opolskim żyje obecnie około stu tysięcy osób skłaniających się ku niemieckości. Liczba ta bliska jest niepublikowanym szacunkom polskim ("niewiele ponad 120 tysięcy"), na które powołuje się w bońskim piśmie "Dialog" Klaus Reiff. Pamiętać trzeba jednak, że w obliczu współczesnej wędrowności ludów wyliczenia takie dezaktualizują się już po kilku miesiącach.

W wydanych przez opolski Instytut Śląski statystykach J. Bielskiego, byłego pracownika miejskiego wydziału paszportowego MSW, poczuciem przynależności do narodu niemieckiego motywowało decyzję wyjazdu pod koniec lat siedemdziesiątych niecałe 10% respondentów ankiety (jednocześnie przygniatająca część wyjeżdżających określiła się w kwestionariuszu wyjazdowym jako Niemcy). Znamienne, że procent ten wzrasta ponad dwukrotnie wśród pięćdziesięcioletników, którzy urodzili się w dobie najintensywniejszej, urzędowej germanizacji. Koreluje to z ocenami autorytetów kościelnych diecezji: po niemiecku najczęściej spowiadają się roczniki 1900-1936. Młodszy rośli już w innych czasach, zresztą nie znają niemieckiego. Jednak nawet nieznajomość języka nie powinna być kryterium negatywnym przy ocenie narodowości, jak chce R. Buchała, który niedawno opublikował w "Ładzie" artykuł na temat niemieckiej mniejszości w Polsce. Swoją drogą, świadczy to oczywiście o osłabieniu związków z niemiecką kulturą i trzeba z kolei przyznać rację Buchale, gdy pisze, że nieznajomości języka niemieckiego,

powszechnej wśród przybywających do RFN z Polski, nie sposób tłumaczyć trudnościami w dostępie do rodzimej oświaty: pozostaje przecież zawsze język domowy, w którym wyrosli przyszli imigranci i którego nie da się przecież narzucić czy zakazać.

Tyle da się chyba obecnie rzeczowo powiedzieć na temat zjawy, straszącej znów z kolumn prasy polskiej i niemieckiej. Być może w archiwach polskiego MSW znalazłyby się opracowania rzetelniejsze. Nie ma to jednak szczególnego znaczenia, gdyż śląska społeczność autochtoniczna po latach rządów PRL zmierza szybkimi krokami ku homogenizacji - od prawie pół wieku "obcym" jest tutaj nie urzędnik czy grynder z Berlina, lecz przybysz spod Tarnopola albo Piotrkowa. Na oglądanych przeze mnie świeżych grobach opolskich cmentarzy spotkałem tyle rytych po niemiecku imion polskich, ile niemieckich rytych po polsku. Dzisiejsi Niemcy nie są więc tymi sprzed lat czterdziestu. Kim są zaś naprawdę, wiedzą tylko oni sami.

Z. A.

...

SPÓR O MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA W POLSCE

Od kilku lat w stosunkach polsko-niemieckich pojawił się nowy problem: istnieje czy nie istnieje milionowa mniejszość niemiecka w Polsce. Do dawnych sporów - na temat granic, istnienia bądź nieistnienia prawnego Rzeszy w granicach z roku 1937, wysiedlenia Niemców z terenów wcielonych do Polski - doszedł nowy punkt: Konflikt stał się wyraźny i znany szerokim rzeszom w obu społeczeństwach po oficjalnym stwierdzeniu o istnieniu "niemieckiej grupy narodowej w Polsce", które przedstawił w grudniu 1983 roku urzędujący minister stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych RFN Alois Mertes. Zdaniem RFN na terenie PRL mieszka około 1,1 miliona obywateli Polski - Niemców; władze polskie utrzymują, że na terenie Polski mieszka zaledwie kilkanaście tysięcy Niemców. Część z niemieckich sił politycznych, ze Związkiem Wypędzonych na czele, stoi na stanowisku, że liczba Niemców mieszkających w Polsce uprawnia do żądania od władz PRL przyznania im

podmiotowości prawnej jako mniejszości narodowej ("das Volksgruppenrecht" - kategoria istniejąca w niemieckiej terminologii prawnej). Władze PRL odpowiadają, że jest to problem sztucznie wykoncipowany przez stronę niemiecką i wykorzystywanie kryzysowej sytuacji gospodarczej Polski; nadto argumentują, że osoby przedstawiające się jako Niemcy czynią to z pobudek materialnych w nadziei na emigrację do bogatej RFN. Strona polska zwraca uwagę, że inspirowanie emigracji - co zarzuca władzom niemieckim - prowadzi do dezintegracji społeczności Górnego Śląska, Opolszczyzny i Mazur.

Przedstawiciele Niemiec twierdzą, że olbrzymia liczba podań o emigrację do RFN nie wynika z jakiegokolwiek inspiracji, lecz jest efektem złej sytuacji Niemców w Polsce. Herbert Hupka, wiceprezydent Związku Wypędzonych, stwierdził w maju 1984 roku, że 200 tysięcy Niemców w PRL marzy o wyjeździe, ale polskie władze nie chcą ich wypuścić.

Niemiecka opinia publiczna w dużej mierze uważa za prawdziwą tezę o milionowej mniejszości niemieckiej w Polsce, choć poszczególne ugrupowania i siły polityczne są w różnym stopniu zainteresowane tą tematyką. Polska opinia publiczna dowiadując się, że w Niemczech mówi się o prawach dla mniejszości niemieckiej w naszym kraju, odczuwa po prostu obawę - zrozumiałą w świetle doświadczeń historycznych narodu polskiego. Władze PRL zresztą z całym cynizmem potrafią operować tym "straszakiem" i wykorzystują go w wewnątrzrajowych manipulacjach.

Jest więc, czy jej nie ma - milionowa mniejszość niemiecka w Polsce? Istota sporu i problemu polega na rozumieniu pojęcia "być Niemcem". Choć może to wydawać się paradoksalne.

W konstytucji RFN w ustępie 1 artykułu 116 zdefiniowane zostało pojęcie Niemca, co stanowi podstawę dla niemieckich interpretacji. Definicja ta brzmi: *"Niemcem w rozumieniu niniejszej Ustawy Zasadniczej jest z zastrzeżeniem odmienniej regulacji ustawowej każdy, kto posiada niemiecką przynależność państwową albo kto jako uciekinier lub wypędzony narodowości niemieckiej, czy też jako jego małżonek lub zstępny znalazł przyjęcie na obszarze Rzeszy Niemieckiej według stanu z 31 grudnia 1937 roku"*. Szczegółowe przepisy precyzują, że obywatelstwa niemieckiego nie można pozbawić, jeżeli dana osoba zamieszkuje teren terytorium państwowego Niemiec. A ponieważ doktryna prawna RFN głosi istnienie *de jure* Rzeszy w granicach z 1937 roku, to obowiązująca interpretacja mówi, że w wypadku obywatelstwa pod pojęciem terytorium państwowego należy rozumieć tamte granice. W ten sposób każdy obywatel polski, który był poprzednio (lub jego przodkowie), obywatelami niemieckimi, o ile mieszka na terenie tzw. Ziemi Zachodnich, ma prawo do obywatelstwa RFN.

Ta skomplikowana definicja jest wytworem epoki, w której powstała. W roku 1949 problem przyszłego zjednoczenia Niemiec należał do najważniejszych dla twórców RFN. Przyświecała im również idea podkreślenia obywatelstwa ogólnoniemieckiego, a więc także obejmującego mieszkańców radzieckiej strefy okupacyjnej (gdzie właśnie tworzone NRD).

Podstawową kategorią, do której odwoływali się twórcy konstytucyjnej definicji "Niemca", jest "niemiecka przynależność państwowa" (deutsche Staatsangehörigkeit). Etniczno-kulturowe rozumienie przynależności narodowej ma znaczenie uboczne i dotyczy tylko specjalnych kategorii "uciekierców" i "wypędzonych", którzy znaleźli się na terenie Niemiec (abstrahując od problemu, jak te granice zostały zakreślone). Oznacza to, że strona niemiecka mówiąc o mniejszości niemieckiej w Polsce bierze za podstawę liczbę byłych obywateli III Rzeszy i ich potomków, czyli, jak można by powiedzieć, "Niemców prawnych", a nie Niemców faktycznych. I w tym rozumieniu taka grupa istnieje, tylko że jest ona * abstrakcyjnie wykoncyrowana. Przedstawione pojmowanie pojęcia mniejszości - a jest to wewnętrzna norma prawna jednego kraju - rozciąga się na obywateli innego kraju, co jest generalnie sprzeczne z prawem międzynarodowym. Oczywiście, przyczyną sprawczą tego anormalnego stanu jest specjalna sytuacja prawna państw niemieckich i terytoriów przynależnych 31 grudnia 1937 roku do Rzeszy. Istnieje bowiem możliwość interpretacji, że istniejąca dzisiaj sytuacja państwowo-polityczna jest statusem *de facto* a nie *de jure*, co ma usprawiedliwiać rozciąganie wewnętrznego prawa RFN na obywateli NRD i część obywateli PRL. Nie warto w tym miejscu odnosić się do tematyki zmiany granic. Doczekała się ona dziesiątek publikacji i ekspertyz prawnych. Stanowiska obu stron: polskiej i niemieckiej są dobrze znane. Warto jednak raz jeszcze w tym miejscu podkreślić trzy elementy: moralną odpowiedzialność państwa niemieckiego za wybuch wojny i tragedie, jakie ona spowodowała; podpisanie przez ostatni rząd III Rzeszy bezwarunkowej kapitulacji, nadającej rozwiązaniom przyjętym przez aliantów moc obowiązującego prawa; podjęcie bez zgody społeczeństwa polskiego decyzji o przesunięciu terenu zamieszkania narodu ze wschodu na zachód, co wiązało się z obowiązkowymi przesiedleniami milionowych mas Polaków i Niemców.

Powracając do głównego wątku rozważań, można stwierdzić, że prawdą jest, iż na terenie Polski mieszka ponad milion byłych obywateli lub ich potomków (tych drugich przede wszystkim) niemieckiego państwa w granicach z 31 grudnia 1937 roku. Tylko że w państwie tym mieszkali setki tysięcy Polaków co było oficjalnie stwierdzone i uznawane. W roku 1945, na mocy uchwał poczdamskich, nastąpiły zmiany granic. Można zrozumieć, że są w Niemczech

ludzie i siły polityczne niezadowolone z rozstrzygnięć poczdamskich, niemniej jednak te uregulowania stworzyły nową, istniejącą dzisiaj rzeczywistość. Ona spowodowała zmianę obywatelstwa ludności polskiej, mieszkającej dotąd na terenie państwa niemieckiego.

Dla porządku można by postawić pytanie czy uchwały poczdamskie były zgodne z prawem i czy w związku z tym mają moc obowiązującą. Ale można chyba pozostawić to pytanie bez odpowiedzi. Nasuwają się inne pytania, które wymagają ustosunkowania się. Czy zmiana terytorium oznacza automatycznie zmianę obywatelstwa wszystkich osób je zamieszkujących? Jak w tym konkretnym przypadku wyglądać miał dalszy los obywateli tych ziem narodowości niemieckiej i - przynajmniej teoretycznie - tych osób narodowości polskiej, które chciałyby utrzymać swoją dotychczasową przynależność państwową?

W zasadzie jedną z podstawowych norm prawa międzynarodowego jest zakaz podejmowania w umowach międzynarodowych decyzji bez zgody państwa zainteresowanego. Ta podstawowa zasada nie dotyczy jednak państwa-agresora, które rozpętało wojnę. Stwierdza to jednoznacznie artykuł 75 konwencji wiedeńskiej o prawie umów międzynarodowych. Obok bezwarunkowej kapitulacji Niemiec (co oznaczało zgodę na wszelkie decyzje i stanowienie praw) i racji moralnych jest to trzeci element sankcjonujący przemiany polityczne na gruzach III Rzeszy.

Konferencja poczdamska podjęła decyzję o zorganizowanym przesiedleniu ludności niemieckiej z terenu Polski, Czechosłowacji i Węgier. Mówił o tym rozdział XIII Postanowień Konferencji. Przesiedlenia ludności zostały potraktowane jako środek realizacji ustaleń III rozdziału: "sprzymierzeńcy teraz i w przyszłości podejmą na zasadzie wspólnego porozumienia inne potrzebne środki konieczne do zapewnienia, by Niemcy już nigdy więcej nie zagrażały swym sąsiadom czy pokojowi świata". Wynika z tego, że wysiedlenie Niemców z Polski nie było tylko realizacją woli polskiej (choć było nią także) ale również wykonaniem zobowiązania nałożonego przez rządy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i ZSRR.

Oznaczało to, że niemiecka ludność zamieszkująca tereny na wschód od linii Odry-Nysy miała na zasadzie nowo powstałego "prawa poczdamskiego" zostać wysiedlona na terytorium pozostające nadal niemieckim. Trzeba w związku z tym odpowiedzieć na pytanie, czy cała ludność niemiecka została wysiedlona z terenu PRL. Jeżeli nie, to jak wygląda sprawa ich obywatelstwa. Ostatecznie sprawę obywatelstwa polskiego z punktu widzenia wewnętrznego prawa PRL regulowała Ustawa o obywatelstwie z 8 stycznia 1951 roku. Pozostawmy na boku kwestie interpretacyjne, wynikające z niskiego

poziomu prawnego tego dokumentu (np. "zapomniano" o sprawie obywatelstwa reemigrantów). Poza stwierdzeniem, że obywatelami PRL są osoby dotychczas posiadające obywatelstwo polskie oraz osoby, które uzyskały to obywatelstwo na mocy Ustawy o obywatelstwie polskim na Ziemiach Odzyskanych z roku 1946, mówi się także (art. 3): "Właściwa władza może uznać za obywateli polskich osoby, które nie odpowiadają wymaganiom artykułu poprzedzającego, zamieszkują jednak w Polsce co najmniej od 9 maja 1945 roku, chyba, że przybyły do Polski jako cudzoziemcy o określonej przynależności państwowej i traktowane były w Polsce jako cudzoziemcy".

W momencie uchwalenia tej Ustawy na terenie państwa polskiego pozostawało jeszcze około 100 tysięcy Niemców - mieszkańców terenów, które do roku 1939 wchodziły w skład państwa niemieckiego - oraz około 80 tysięcy Niemców - obywateli polskich sprzed roku 1939. Wiosną 1951 roku zostało ostatecznie zakończone wysiedlanie Niemców z Polski. Można przyjąć, że w Polsce pozostało około 160 tysięcy osób narodowości niemieckiej, w tym 80-90 tysięcy byłych obywateli niemieckich¹.

Władze niemieckie uważają, że osób tych przymusowo pozbawiono obywatelstwa niemieckiego, a więc ich aktualne obywatelstwo polskie nie jest obowiązujące. Trzeba by w tym miejscu odwołać się do dziedziny prawa, która dotyczy tzw. sukcesji państw. Teoretycy prawa mają w tej mierze różne poglądy. W przypadku automatycznej zmiany obywatelstwa w wyniku cesji do II wojny światowej dominował pogląd o prawomocności tej zasady. Co prawda, na przełomie XIX i XX wieku pojawiły się zapowiedzi zmian (np. rozwiązanie traktatu kolumbijsko-wenezuelskiego z roku 1898 czy rosyjsko-japońskiego z roku 1905), ale jeszcze w Wersalu zasada ta uznana została za generalnie obowiązującą. Na gruncie prawa niemieckiego jeszcze w 1927 roku odwołano się do tej zasady w traktacie pomiędzy Saksonią a Turynią.

Po II wojnie światowej, zwłaszcza w ostatnich 20 latach, coraz silniejsze jest przekonanie o prawie człowieka do wyboru przynależności państwowej, co zostało nawet wprowadzone do Deklaracji Praw Człowieka, ale nie zostało przyjęte jeszcze przez prawodawstwo żadnego kraju.

Przeważająca część ludności PRL, która ma potencjalne uprawnienia do obywatelstwa RFN, to potomkowie osób uznanych w 1945 roku za posiadające narodowość polską. Historia weryfikacji narodowościowej ludności tzw. Ziem

^{1/} Według niektórych interpretacji niemieckich prawo do obywatelstwa RFN mają także osoby, które nabyły niemieckie obywatelstwo pomiędzy 31 grudnia 1937 roku a 7 maja 1945 r., czyli np. Volksdeutsche i ich potomkowie w Generalnym Gubernatorstwie.

Odzyskanych to osobny rozdział. Miała swoje rozmaite etapy, była zróżnicowana terytorialnie, inaczej wyglądała z punktu widzenia przepisów, a inaczej z punktu widzenia praktyki. Wydanych było kilka rozporządzeń regulujących zasady weryfikacji i kryteria uznawania za Polaka, w tym główne z 6 kwietnia 1946 roku. Generalnie, aby zostać uznany za Polaka (i tym samym nie podlegać wysiedleniu) należało udowodnić w określony sposób (w rozmaitych wariantach: dokumenty, trzech świadków, znajomość języka polskiego czy nawet ... znajomość pacierza) swą polską narodowość i złożyć deklarację wierności państwu i narodowi polskiemu. Tylko osoby zweryfikowane miały prawo pozostać. I tylko one i ich potomkowie tworzą dzisiaj problem ewentualnej mniejszości niemieckiej w Polsce. Pamiętać przy tym trzeba, że lokalne władze polskie miały wówczas, co jest zrozumiałe w świetle wojennych doświadczeń, fobię antyniemiecką i dosyć kategorycznie odnosiły się do akcji weryfikacyjnej. Nierzadkie były wypadki, co opisywano później w opracowaniach historycznych, wysiedlania ludzi poczuwających się do polskości, kwestionowania efektów pracy komisji I stopnia i "przekwalifikowywania" osób już uznanych za Polaków do kategorii "Niemców". Uprawnia to, jak sądzę, do wniosku, że pozostawione w Polsce osoby - byli obywatele niemieccy² - pozostali z własnej woli, składając deklarację polskości. Oczywiście, jest do pojęcia, że w sytuacji 1946 roku można było ze względów ludzkich i dla chęci pozostania na ojczyźnie przyznać się do polskości w złej wierze, ukrywając swoje prawdziwe poczucie narodowe. Jest to zrozumiałe i z moralnego punktu widzenia wybaczone. Niemniej jednak, fakt pozostaje faktem - osoby te zadeklarowały przynależność do narodu polskiego. Przechodząc pozytywnie weryfikację udawadniały jednocześnie, że ich deklaracja przynależności narodowej nie jest bez podstaw. Można próbować obalać ten argument, mówiąc, że skomplikowana sytuacja narodowościowa Górnego Śląska powodowała, że każdy jego mieszkaniec był, niezależnie od swego poczucia narodowego, w jakimś stopniu związany zarówno z polską jak i niemiecką kulturą; że każdy Niemiec miał jakąś polską babkę, a Polak niemieckiego dziadka. W sytuacji wyższej konieczności potrafił więc udawać zarówno Polaka, jak i Niemca. Wszystko to prawda, z tym, że odnosi się także do dzisiejszej sytuacji. Niewątpliwie na dzisiejszą decyzję dowodzenia swego "prawnie niemieckiego"

^{2/} Z wyjątkiem specjalistów, których traktowano jako Niemców, ale którym nakazano pozostać w miejscu pracy na zasadzie polecenia władz okupacyjnych - tę grupę w zasadzie wysłano do Niemiec, głównie do NRD, w latach 1949-1951.

pochodzenia ma wpływ chęć podniesienia statusu materialnego.

Władze polskie w latach 1945-1949 zweryfikowały jako Polaków 1.015.000-1.030.000 byłych obywateli III Rzeszy. Według sprawozdań, około 60 tysięcy osób, traktowanych przez władze jako polscy autochtoni, nie zgłosiło się do akcji weryfikacyjnej (głównie na Warmii i Mazurach).

. . .

W roku 1956 otwarte zostały możliwości wyjazdu z Polski do RFN i NRD w ramach tzw. łączenia rodzin. Trzeba przyznać, że władze polskie, opierając się na propagandowej tezie o jedności i jednolitości narodowej społeczeństwa, konsekwentnie utrudniały takie wyjazdy, hamując je i podważając zasadność zgłaszanych wniosków. Władze polskie odwoływały się - choć generalnie starano się o tym jak najmniej informować społeczeństwo - do polskiej racji stanu. Mimo tych utrudnień w latach 1956-1958 wyjechało z Polski 117 tysięcy osób. W latach 1969-1970 pomimo zakończenia "akcji" wyjazdowej opuściło nasz kraj następne 110 tysięcy.

Podczas rokowań polsko-niemieckich w 1970 roku strona zachodnoniemiecka twierdziła, że nadal jeszcze mieszka na terenie PRL około 280 tysięcy osób, które mają prawo do wystąpienia o obywatelstwo RFN i do emigracji. Rząd polski zaprotestował przeciwko takiej interpretacji, dowodząc, że jest jego suwerennym prawem ewentualne uznanie uprawnień grupy obywateli polskich do obywatelstwa RFN. Niemniej jednak, "w geście dobrej woli", jesienią 1970 roku przedłożono RFN "Informację", w której stwierdzono, iż władze polskie mogą się zgodzić na wyjazd z Polski za pośrednictwem Czerwonego Krzyża "kilkudziesięciu tysięcy osób". Użyto przy tym kategorii, która dotąd się nie pojawiała i jest wyjątkowo nieprecyzyjna - "osób o niezaprzeczalnej przynależności do narodu niemieckiego". W latach 1971-1975 na mocy tych porozumień opuściło Polskę 60 tysięcy osób. W roku 1975 doszło do spotkania ministrów spraw zagranicznych - Genschera i Olszowskiego, podczas którego strona polska zgodziła się, w zamian za kredyty, na wypuszczenie dalszych 120-125 tysięcy osób. Według niektórych relacji strona polska zainteresowana wysokością kredytu podniosła nawet ze 100 na 120 tysięcy wysokość limitu. W praktyce okazywało się, niestety, że lokalne władze potrafiły nawet wywierać naciski, aby zgłaszano chęć emigracji do RFN. Informacje takie dochodziły zwłaszcza z Mazur, gdzie dotąd uprzykrzano życie właścicielom atrakcyjnych turystycznie posesji, aż zdecydowali się na wyjazd.

Ludzie wyjeżdżający w latach 1976-1979 (120 tysięcy) tworzyli socjologicznie nową jakościowo grupę. Większość z nich (nie wszyscy, bo część wyjeżdżała jako Polacy-członkowie rodzin niemieckich) mogła się

wylegitymować posiadaniem części niemieckich przodków (zwłaszcza w rozumieniu obywatelstwa), jednak przygniatająca ich większość związana była z polskością (język, wzorce zachowań, systemy wartości, odniesienia kulturowe). Nie jest to sprzeczne z tym, że autentycznie spora ich część uważała się za Niemców. Prawdą jest jednak również i to, że wielu z tych emigrantów w poprzednich latach nie przedstawiało się jako Niemcy. Mamy tu do czynienia z fenomenem socjologicznym aspirowania do innej przynależności narodowej na tle materialnym. Aspiracją tak mocno przeżywaną i "zinternalizowaną", iż w wielu wypadkach tworzyła autentyczne poczucie niemieckiej przynależności narodowej. Jest to wielkie oskarżenie pod adresem PRL, że doprowadziła do takiej sytuacji, w której w skali masowej warunki życia prowadzą do tego typu przemian świadomości narodowej, do swego rodzaju "głosowania nogami" przeciwko rządowi komunistycznemu. Trzeba też przyznać, że osoby pochodzenia niemieckiego nie miały w Polsce w ostatnich czterdziestu kilku latach warunków do codziennych kontaktów z kulturą niemiecką. Cywilizowany świat pod koniec XX wieku stoi na stanowisku, że każdy człowiek ma prawo do odczuwanej przez siebie tożsamości, w tym i narodowej, oraz do wyboru miejsca zamieszkania. Dlatego też autor niniejszego tekstu, choć jako Polaka boli go odchodzenie od polskości, przyznaje każdemu prawo do podejmowania decyzji o uznawaniu się za Niemca.

Jest więc, czy jej nie ma - ta niemiecka mniejszość w Polsce? Podsumujmy. Po wojnie na terenie PRL pozostało około 1 miliona 15 tysięcy autochtonów - byłych obywateli niemieckich deklarujących polskość i 160 tysięcy Niemców (w tym mniej więcej połowa obywateli polskich sprzed 1939 roku). Od czasu zakończenia wysiedlenia ludności niemieckiej w roku 1950 do 13 grudnia 1981 roku opuściło Polskę wyjeżdżając do RFN (nie licząc tzw. azylantów) około 690 tysięcy osób.

Moim zdaniem osoby przynależne kulturowo do niemieckości nie mieszkają już w Polsce. Pewna marginalna grupa, to głównie osoby powyżej 70 roku życia. Nie jest ona liczniejsza niż kilka tysięcy osób. Istnieje natomiast duża grupa ludzi mająca niemieckich przodków, którzy - choć w sferze zachowań i języka Polacy - chcą utożsamiać się z niemieckością. Ilu ich jest? Tego, podejrzewam, nie wie dobrze ani strona polska, ani niemiecka. Gdyby przeprowadzić dokładne studia socjologiczne okazałoby się, że wyniki nie satysfakcjonują ani jednej ani drugiej strony. Myślę, że nie byłby to ani milion, ani kilkanaście tysięcy. Najprawdopodobniej - około dwustu-trzystu tysięcy. To smutne, że w tak ważnej sprawie można posługiwać się praktycznie tylko intuicją. Zresztą, nawet wyniki badań socjologicznych

nie przyniosłyby trwałej wiedzy, bowiem z samej istoty tej grupy jej liczebność jest płynna. Jestem przekonany, że poprawa sytuacji gospodarczej i mieszkaniowej w Polsce zmniejszyłaby jej liczebność. Należy uznać prawo człowieka do samookreślenia swej tożsamości. Jeśli ktoś czuje się Niemcem, ma prawo funkcjonować jako Niemiec, nawet jeżeli podejrzewalibyśmy, że jest to tylko pretekst do emigracji. Polskie otoczenie powinno wnieść się ponad uprzedzenia oraz obawy i nie czynić w tym trudności. Sprawdzianem związku z niemieckością ludzi deklarujących się jako Niemcy byłaby ich aktywność kulturowa.

Na marginesie warto dodać, że problem mniejszości niemieckiej w Polsce ma i swoje nieoczekiwane konsekwencje - dzisiaj co najmniej 0,5% społeczeństwa RFN to tzw. późni przesiedleńcy z Polski, których kulturowa integracja z społeczeństwem niemieckim postępuje powoli i którzy w części pozostali przy języku polskim jako języku domowym także po emigracji do RFN.

Rząd PRL stara się przedstawić poczynania RFN w kwestii mniejszości jako makiawelistyczne działanie zmierzające do rewizji polityczno-terytorialnego *status quo*. Nie można jednak negocjować także humanitarnych i, w pozytywnym sensie, narodowych przesłanek tego zaangażowania. Choć, oczywiście, nie wolno zapominać, że podnoszenie tej sprawy przez RFN ma na celu demonstrowanie, iż problematyka niemiecka nie ogranicza się do terytorium RFN i jest częścią koncepcji politycznej tzw. umiędzynarodowienia kwestii niemieckiej, a ewentualne istnienie niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce ma być dowodem na zasadność odwoływania się do pojęcia granic z 1937 roku.

A.K.

ZAKŁETE "KOŁA PRZYJAŹNI"

Być Niemcem znaczy tutaj: być przeciw. Przeciw narzuconemu odgórnie bałaganowi, nachalnej "połonizacji", której apostołami byli najpierw cwaniaczkowie-szabrownicy, potem ubecy, na koniec zaś zapijaczeni piewcy ogólnokrajowej "małej stabilizacji". Przeciw Polsce Ludowej i komunizmowi.

Na Śląsku Opolskim jest to postawa powszechna.

Większości mieszkańców tego regionu udało się uniknąć losu uchodźców z Prus Wschodnich, Pomorza czy okolic Wrocławia: w roku 1945 pozostali na miejscu. Późniejsze przesiedlenia nie dotknęły ich też w sposób znaczący. Kiedy zatem wieloletnie rządy czerwonej Warszawy dopiekiły do żywego rdzennym mieszkańcom Ziemi Zachodnich, to właśnie tu, na Śląsku, skupił się największy potencjał goryczy. To wówczas zaczęły się wyjazdy dobrowolne. Dopóki były one skrajnie ograniczane, Ślązacy wybierali emigrację wewnętrzną: choć obce było im to pojęcie, uprawiali ją z żelazną konsekwencją. Zamykali się szczelnie w kręgu rodziny i najbliższych przyjaciół, pracując nie odrywali się od warsztatu czy gospodarstwa. Wyizolowywali się szczelnie z życia społecznego - jeśli nie liczyć księży, sportowców oraz pewnej liczby niemieckich komunistów, którym pozwolono tu pozostać.

Gdy pojawiła się możliwość emigracji - skorzystali z niej masowo: była to przecież jedyna dostępna im forma czynnego protestu.

Sytuacja zmieniła się w latach osiemdziesiątych. Jak wszędzie, tak i tutaj dotarły echa gdańskiego Sierpnia. Niepokorni przybysze z Mazowsza czy małopolscy "gorole" uczyli Ślązaków organizować się bez pozwolenia urzędu.

Mimo pogrudniowych ograniczeń i represji autonomizacja społeczeństwa rosła, a wraz z nią także aktywność mniejszości narodowych, które przestawały już tolerować gorset urzędowej opieki MSW. I tutaj pączkować zaczęły niezależne wydawnictwa w rodzimych językach, krążyły społeczne petycje, wnioski i apele.

W roku 1984 katowicki inżynier Norbert Gaida wystąpił do miejscowego Urzędu Wojewódzkiego z wnioskiem o rejestrację Stowarzyszenia Niemców. Oficjalne Niemieckie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne z siedzibą w Wałbrzychu od dawna nie przejawiało już żadnej aktywności z powodu wymarcia większości jego członków. Inicjatywa Gaidy była zapewnianiem opuszczonych obszarów - coś z tego, skoro "niesocjalistyczna", a przede wszystkim na niewłaściwym terenie. Władze bowiem, przyznając się do tolerowania w rejonie wrocławskim (wbrew umowie poczdamskiej!) garstki nie wywiezionych swego czasu starzejących się rdzennych Niemców, jak ognia unikały prawdy o wtórnej już germanizacji Górnego Śląska. Germanizacji, której same zawińczyły przez swą dyskryminacyjną politykę wypędzając do Frankfurtu czy Kolonii synów powstańców bojących się Góry św. Anny.

Wniosek Gaidy powędrował do kosza, a sam autor, deklarujący, że pragnie powstrzymać wzbierającą właśnie falę wyjazdów - do RFN.

Był już rok 1986, który nad Renem przyniósł "list Mertesa" w sprawie

miliona Niemców w Polsce oraz dwie publikacje, skrajnie różne w wymowie, choć obie będące owocem "turystyki nostalgicznej": "Die Reise nach Pommern" H. Krockowa i "Nicht nur die Steine sprechen Deutsch" małżonków Ruge. Zainteresowanie polsko-niemieckimi kresami wzrastało w RFN w miarę przybywania tam kolejnych "wypędzonych". Na Opolszczyźnie zaś coraz liczniejsi skupiać się zaczęli pod niemieckimi barwami. Byli wśród nich mieszkańcy Zabrza i Gliwic, celowały w mniejszościowej inicjatywie jednak wlejsko-przemysłowe okolice Kędzierzyna-Koźla; aktywne były też rubieże południowe, a więc leżące za Raciborzem, przy samej granicy z Czechosłowacją, okolice Tworkowa i Krzyżanowic (a także Krzanowic i Borucina, zamieszkiwanych przez zgermanizowanych Morawian).

Na wiosnę tegoż roku do Urzędu Wojewódzkiego w Opolu wpłynęła petycja, sygnowana przez mieszkającego w Kędzierzynie Herberta Piontka oraz 34 inne osoby. "Na Śląsku mieszka jeszcze wiele(!) Niemców - pisali jej autorzy - skoro zmuszani są (oni) często wbrew ich woli żyć i mieszkać w Polsce". Powinno im się stworzyć możliwość dostępu do rodzimej kultury. Stąd wniosek o zarejestrowanie Stowarzyszenia Niemców w Polsce.

Miałoby ono zajmować się nauczaniem języka, "organizowaniem niektórych nabożeństw kościelnych w języku niemieckim" oraz "reprezentowaniem interesów ludności niemieckiej w stosunku do władz administracyjno-państwowych". Mówi się tu także o możliwości "interwencji u władz polskich i niemieckich"! Jak można się domyślać, pisma owego nie układał wytrawny prawnik ani dyplomata. Nic dziwnego - ruch śląskich Niemców jest typową "inicjatywą oddolną" (dawniej powiedzielibyśmy po prostu: ma ludowy charakter). Nie ma tu inteligencji, są za to liczni robotnicy, drobni urzędnicy, trochę inżynierów. Tak było od początku i jest do dziś.

Kilku spośród sygnatariuszy petycji Piontka podpisywało jużwcześniejsze o rok pismo Galdy. Znamienne, że tym razem złożyli oni swe podpisy zaledwie kilka dni po wrocławskim przemówieniu Jaruzelskiego, w którym generał zapewniał, że Polska, wypełniając treść układu poczdamskiego, definitywnie rozwiązała problem niemieckiej mniejszości.

Środowisko to tworzyli na ogół ci, którym władze uporczywie odmawiały zezwolenia na wyjazd "do Reichu". Rosnąca frustracja hamowana była do niedawna wszczepianym przez lata austriackich i pruskich rządów poczuciem dyscypliny wobec władzy. "Solidarnościowy" przykład dokonał reszty.

Na jesieni 1985 roku Franciszek Poppe, Werner Josz i Hubert Materla tworzyli w Kędzierzynie-Koźlu i pobliskich Zdzeszowicach pierwsze Niemieckie Koła Przyjaźni (Deutsche Freundschaftskreis - DFK). Ich ideą było zespalanie ludzi, którzy nie ukrywali swej niemieckiej świadomości. Na

tej to solidarnościowo-towarzyskiej platformie prowadzono akcję samoszałaeniową w zakresie niemieckiej kultury, a z czasem działania polityczne w formie petycji i wniosków do władz o rejestrację.

Szybko powstawały coraz to nowe Koła, których zasięg pokrył większą część Opolszczyzny oraz południowo-zachodnie rejony Górnego Śląska, z centrum w okolicach Kędzierzyna. Najwięcej chętnych znajdowano w wielkich zakładach przemysłowych, których pracownicy najaktywniej włączyli się w działalność Kół. Nie było wśród nich górników. Zdanem indagowanego przede mną o przyczynę tego stanu rzeczy członka DFK, istotną przyczyną były zarobki, wyższe u pracownika kopalni, niż robotnika w fabryce obrabiarek. Członkowie Kół obliczali, że jest ich kilka tysięcy, nie wydaje się jednak, by liczba aktywnych przekraczała pięćset osób. Najwięcej z nich skupiało się w kołach Zdieszowice, Kędzierzyn-Koźle, Gliwice, Zabrze i Wrocław.

W roku 1986 największe Koła zorganizowały zjazd w jednym z raciborskich klasztorów. Przybyło nań trzysta osób, obrady udaremniła jednak bezpieka. Podobnie zakończyła się w Polskiej Cerekwi próba zorganizowania dożynek. Jak słyszałem, władze wpadły na trop "nielegalnego" święta pionów dzięki obecności wielu samochodów z rejestracją zachodnioniemiecką, które tego dnia zjechały do tej niewielkiej podraciborskiej miejscowości. Niewiele później Maksymilian Kretak z Roszkowa ufundował dla miejscowego cmentarza tablicę ku czci poległych na "Ostfroncie". Do jej odsłonięcia już nie doszło, aresztowano Kretka, kamieniarza, konfiskując gotowy już pomnik. Okolice leżące przy granicy morawskiej Roszkowa mają dwustuletnią już tradycję ludowych ruchawek, a w samej wiosce mieszkali aż do wyjazdu znany nam Norbert Gaida.

Niemieckie Koła Przyjaźni wydawały jednokartkowy biuletyn, pisany na maszynie. Miał on niewielki nakład 90 egzemplarzy. Pomimo tego, że prawo PRL nie obejmuje nakazem cenzury nakładu tej wielkości, połączona z rekwizycją "drukarni" rewizja policyjna położyła kres istnieniu pierwszej redakcji, mieszczącej się w Dziedzicach. Biuletyn poza tytułem i datą pisany był po polsku. Dwukrotnie próbowano rejestrować czasopismo kulturalne "Unsere Muttersprache".

Gdy uświadomimy sobie, że ojcowie Niemców z DFK walczyć mogli - po polskiej stronie - w powstaniach śląskich, nietrudno będzie o odpowiedź, jaki model kultury proponowali młodym adeptom starsi stażem działacze: orientacja na "Wielką Ziemię" nad Renem zaglądać musiała tendencje regionalne, które nie mogły przecież nie ujawniać związku górnośląskiej tradycji z tradycją polską. Niemniej na plus DFK zapisać należy troskliwe starania o popularyzację postaci Josepha von Eichendorffa, urodzonego w

podraciborskich Łubowicach wielkiego poety niemieckiego romantyzmu, którego dwusetną rocznicę urodzin obchodzono w roku 1988. Z Niemieckimi Kęgami Przyjaźni związany był także odziany w piękne górnośląskie stroje ludowy zespół pieśni i tańca. "Spiewają po polsku, choć czują po niemiecku" - napisali o nich w swym reportażu państwo Ruge.

Postępująca aktywizacja Kół szła jednak w parze z wyludnianiem się Opolszczyzny. Komuniści łatwo więc obracali energię działaczy DFK w kierunku dla ruchu samobójczym, udzielając im selektywnie zezwoleń na emigrację do RFN. Większość w ten sposób "uszcześliwionych" nie potrafiła oprzeć się pokusie - z reguły byli to ludzie, których w szeregi "Kregu Przyjaźni" wepchnęła właśnie polityka opolskiego wydziału paszportowego MSW. Ojcu DFK, Poppemu, trzydzieści razy odrzucano wnioski wyjazdowe (ten założyciel i przywódca ruchu, otrzymawszy paszport w roku 1988, również opuścił Polskę). Dlatego, paradoksalnie, pozwolenia indywidualne na emigrację były jedyną odpowiedzią władz na powtarzające się wnioski o rejestrację Kół. Gdy w zeszłym roku rozmawiałem z jednym z nielicznych ich współzałożycieli, którzy pozostali, opowiadał mi on, że pierwszy wniosek o wyjazd złożył pod koniec lat siedemdziesiątych, samo postanowienie powzięł jednak po podpisaniu przez Brandta w roku 1970 układu sankcjonującego granicę na Odrze i Nysie. Dziś nie myśli już o wyjeździe ("renty w Bundesrepublikie raczej nie dostanę"), choć jego sąsiad i stary "kołowy" kolega spakował walizki niedługo po naszej rozmowie.

Mniej więcej w roku 1987 osłabły inwigilacje bezpieki i nikt nie zakłócał już odprawianych po polsku hucznych niemieckich dożynek.

Deiegaci DFK kilkakrotnie przyjmowani byli przez ordynariusza diecezji opolskiej, biskupa Alfonsa Nossola. Wnioskowali o wprowadzenie w kościołach Opolszczyzny niemieckojęzycznych nabożeństw. "Odnoszę wrażenie - powiedział mi jeden z działaczy Kofa - że biskup byłby przychylny naszym prośbom, nie jest jednak w stanie ich wypełnić, zarówno ze względu na władze państwowe, jak i stanowisko ogółu Episkopatu. Sam biskup podkreślał trudności innego rodzaju: uczęszczający na niemieckie msze wierni nie rozumieliby księdza! Faktem jest, że znajomość niemieczyny jest u Ślązaków coraz słabsza i członkowie DFK nie różnią się w tym od reszty swoich członków. Dotyczy to w szczególności młodzieży, która z reguły niemieckiego nie zna w ogóle. Rozmowy z biskupem Nossolem - znającym niemiecki doskonale - prowadzone były po polsku.

W styczniu 1988 roku federalny minister spraw zagranicznych Genscher, wizytując Polskę, przyjął reprezentantów Kół w ambasadzie RFN w Warszawie. Wtedy też po raz pierwszy wspomniano o organizacji reżimowa prasa

warszawska, oczywiście krytycznie.

Spotkanie z Genscherem nie zmieniło sytuacji. Nie doczekawszy legalizacji, aż do końca ubiegłego roku ruch wegetował, nie potrafiąc wyjść poza zakłęty krąg kilkuset działających członków. Niewątpliwie liczniejsze było grono sympatyków, przeważało jednak wyczekiwanie: "Co z tymi pieronami zrobią?". Sytuacja zmieniła się, gdy po wyjeździe Poppego kierownictwo przejęli Jan i Henryk Królowie z Gogollna (ojciec i syn). Stary Król cieszył się od dawna pewną popularnością jako założyciel i kierownik dochodowej rolniczej spółdzielni produkcyjnej. Był on inicjatorem, złożonego po uchwaleniu przez Sejm nowego prawa o stowarzyszeniach, wniosku o rejestrację Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim. Akcja wspierających go list, z podpisami osób deklarujących się jako Niemcy, wywołała nieoczekiwane szeroki oddźwięk: od lutego do czerwca w miastach i wsiach Opolszczyzny zebrano 70 tysięcy podpisów, dziś, w połowie sierpnia, jest ich podobno 200-250 tysięcy! Nierzadko składają je wszyscy dorośli mieszkańcy osiedla.

Trudno ocenić jeszcze przyczyny i ostateczny zasięg tego zjawiska. Już dziś jednak szacować można, że podpisy na niemieckich listach złożyło około 30% rodziłej ludności Opolszczyzny, czyli zapewne połowa - jeśli weźmiemy pod uwagę pełnoletnich. Sami liderzy DFK i animatorzy Stowarzyszenia czują się chyba przytłoczeni rozmiarami odzewu na własne apele. Czy Koła Przyjźni zachowają swoją tożsamość po przejściu tej fali przyływu, pokaże czas.

Od 4 czerwca tego roku można już jednak modlić się po niemiecku: za pozwoleniem biskupa opolskiego niedzielne msze także i w tym języku odprawia się na Górze św. Anny. Natomiast Sąd Wojewódzki w Opolu odrzucił 24 lipca wniosek o zarejestrowanie Stowarzyszenia Mniejszości, motywując swą (?) decyzję faktem... "weryfikacji" Ślązaków przed czterdziestu laty.

Władze jakby nie zdawały sobie sprawy, że stoją przed zjawiskiem nowej jakości: oto niegdysiejsze środowiska Kół Przyjźni przekształcają się na ich oczach w bezprecedensowy, masowy ruch społeczny. Czy utrwali się on w organizacyjnych ramach? Jeśli tak, to czym je wypełni? Obawiam się, że powstająca siła wykorzystana będzie przede wszystkim jako instrument bieżącej gry politycznej, co korzyści regionowi nie przyniesie, antagonizując i tak już nie idylliczne stosunki społeczne na Opolszczyźnie. Przyjęcie przez Ślązaków ze Stowarzyszenia jednoznacznej formuły niemieckiej w sytuacji, gdy przez lata całe służyła ona wyłącznie jako mandat uprawniający do emigracji, musi przynieść w efekcie powierzchowność działań "społeczno-kulturalnych", oznacza bowiem rezygnację z szans, jakie zawsze daje bogactwo kultury pogranicza - także tutaj. Niedalekie Katowice

stają się ośrodkiem tworzonego właśnie Związku Górnośląskiego. Ma on polskie oblicze, co wynika z programu, mówiącego między innymi o nawiązywaniu do tradycji polskiej powstań śląskich oraz polskiego, śląskiego harcerstwa. W tym samym programie mówi się jednak o oplecie nad kulturą niemiecką, również rodzimą, na tym terenie. Czy nie znalazłoby się tu pole porozumienia dwóch krystalizujących się właśnie sił społecznych? Póki nie jest za późno. Katolicki ksiądz, jeden z bohaterów "Pierwszej polki" Horsta Bienks, której akcja toczy się w niemieckich Gliwicach, w kulminacyjnym momencie powieści mówi, że miłość do ziemi stoi przed prawem do niej każdej poszczególnej narodowości. Podzielał to stanowisko i cieszyłbym się, gdyby legalnie działające Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej wyszło nieco poza zakłète krąg "niemieckości".

Zbigniew Arnhold

Nowa prawica w Czechosłowacji

KŁĘSKA LEWICY JEST CAŁKOWITA, CHOĆ NIE OSTATECZNA...

Rozmowa z Alekssem Tomskim

ABC: *Jest Pan wydawcą emigracyjnego pisma i dyrektorem wydawnictwa "Rozmłuvy". Wyróżniają się one wśród innych wydawnictw emigracji czeskiej podkreślaniami związków z katolicką myślą polityczną. Jak doszło do powstania tej inicjatywy wydawniczej?*

A.T.: Odpowiedź na to pytanie wymaga choć pobieżnego omówienia historii opozycji w Czechosłowacji. U nas stalinizm trwał w zasadzie aż do lat sześćdziesiątych i moja generacja zetknęła się z nim w sposób aż nazbyt odczuwalny. Mieliśmy jednak również szansę spotykania ludzi dobrze pamiętających okres przedwojenny. Poniekąd w sposób naturalny zadaniem mego pokolenia stało się zachowanie lub odtworzenie pamięci narodowej o tym okresie. Polegało to między innymi na czytaniu zakazanych książek przedwojennych i odkrywaniu dla siebie wielkich nazwisk w literaturze tego okresu. Dotyczyło to także literatury lat pięćdziesiątych, gdyż, paradoksalnie, właśnie wtedy powstały ważne, a może nawet najważniejsze dzieła czeskiej literatury XX wieku. Mam na myśli między innymi Vladimira Holana, Bohuslava Reinka, Jana Zahradníčka, tworzących poezję metafizyczną, poezję filozoficzną o wartości nie mającej moim zdaniem odpowiednika w całej literaturze czeskiej. Jej wysoka wartość była efektem zderzenia się wielkich duchowo ludzi z katastrofą totalitaryzmu komunistycznego. Ocalone dzieła tych wielkich poetów robiły na mojej generacji niesamowite wrażenie i sądzę że opozycja lat sześćdziesiątych zrodziła się z lektury i przeżycia tej właśnie literatury. Gdy znalazłem się na emigracji i zająłem się wysyianiem wydawnictw emigracyjnych do kraju szybko spostrzegłem istnienie wyraźnej luki w działalności wydawniczej Czechów na emigracji.

Brakowało wydawnictwa katolickiego. Istniejące w Rzymie wydawnictwo kościelne zajmowało się drukowaniem książek typowo kościelnych - związanych z kultem i liturgią, a w moim przekonaniu istniało wielkie zapotrzebowanie na czeską literaturę mogącą wesprzeć odrodzenie katolicyzmu w Czechosłowacji. Wydawało mi się najwłaściwsze rozpocząć od upowszechnienia dorobku wspomnianych przeze mnie wielkich autorów, których dzieła nigdy jeszcze nie ukazały się w druku. Brakowało także emigracyjnego pisma konserwatywnego, nie związanego z istniejącymi na Zachodzie czeskimi ośrodkami politycznymi, kontynuującymi tradycje partii z okresu międzywojennego, a więc bardziej realistycznego, uwzględniającego przemiany zachodzące w postawach społeczeństwa czeskiego. Chodziło mi o pismo w rodzaju polskiego "Znaku", wyraźnie katolickie, zdecydowanie antytotalitarne i antykomunistyczne, ale zarazem równie krytyczne wobec rozwiązań socjalistycznych jak i liberalnych. Taka była geneza wydawnictwa i pisma "Rozmluvy".

ABC: *W polskiej prasie opozycyjnej mało można znaleźć informacji o innych niż Karta 77 nurtach opozycji w Czechosłowacji. Czy zdaniem Pana odpowiada to rzeczywistemu obrazowi sytuacji w Pańskiej ojczyźnie?*

A.T.: To nie jest takie proste, gdyż opozycja w Czechosłowacji nie ma wyraźnego politycznego charakteru. Opozycyjność wyraża się najczęściej działaniami na rzecz obrony różnych sfer kultury. Opozycja polityczna, istniejąca po inwazji sowieckiej, została łatwo i szybko robiona w latach 1969-71 i trzeba było sporo czasu, aby ukształtowała się nowa, mająca raczej kulturalny niż polityczny charakter. Jej początki wiążą się z upowszechnieniem w bardzo ograniczonym wymiarze książek pisarzy represyjnie usuniętych ze Związku Pisarzy Czechosłowackich. Książki te zaczęły ukazywać się od 1971 roku w ramach edycji zwanej *petlice*, przeciętnie w nakładzie 20 egzemplarzy maszynopisu.

Zaistniała wtedy także niezależna muzyka - tak zwany czeski underground, istniało wiele przedsięwzięć artystycznych usiłujących działać niezależnie od władz. Te inicjatywy tworzyły zjawisko określane w Czechosłowacji mianem "paralelny polis".

Po podpisaniu umów helsińskich powstała z tych nurtów Karta 77, pluralistyczny politycznie ruch na rzecz obrony praw ludzkich, skupiający wielu ludzi pragnących działać nie tylko na płaszczyźnie kultury ale także polityki. Przez dłuższy czas, oprócz działań w ramach Karty 77, nie było żadnego innego ruchu politycznego. Poza Kartą istniała tylko opozycja pism

i wydawnictw. Na tym tle czymś szczególnym i nie pasującym do dotychczasowych definicji opozycyjności była działalność nieoficjalnego, podziemnego Kościoła, wyrastającego w Czechosłowacji na największe zjawisko opozycji w ogóle.

Pomimo niewykrystalizowania się wyraźnych ugrupowań politycznych, można już dzisiaj, w daleko idącym zróżnicowaniu się opozycji kulturalnej, dostrzec zapowiedź powstania w przyszłości różnorodnych nurtów politycznych. Ukazujące się pisma, zajmując się na razie głównie historią, kulturą, sztuką i filozofią, prezentują bardzo szeroki wachlarz postaw i opcji politycznych, od komunizmu poczynając, na konserwatyzmie kończąc.

ABC: Uznał Pan działalność nieoficjalnego Kościoła za największą siłę opozycyjną w Czechosłowacji. Na czym polega ta opozycyjność?

A.T.: Istnienie i aktywność środowisk katolickich w Czechosłowacji jest czymś niezwykłym i zaskakującym. Zwłaszcza w Czechach, gdzie pod koniec lat pięćdziesiątych Kościół załamał się niemal całkowicie pod naciskiem i terrorem państwa komunistycznego. W wyniku tego nacisku wielu ludzi, na przykład moi rodzice, odeszło od Kościoła. Była to prawdziwa klęska, gdyż, jak sądzę, już w latach 1949-50 około 80% wiernych wycofało się z praktyk religijnych. Na Morawach proces załamania się Kościoła następował o wiele wolniej, ale też czynił znaczne postępy. Jedynie na Słowacji, po krótkotrwałym załamaniu, większość wiernych powróciła do praktyk religijnych. Dzisiaj można śmiało mówić o renesansie religijności właśnie w najbardziej zlaicyzowanych Czechach. Wychodzi tam trzynaście podziemnych pism katolickich, czyli mniej więcej tyle samo, ile w tradycyjnie katolickiej Słowacji. Co ważniejsze, pisma te mają stosunkowo duży zasięg, gdyż drukowane są techniką powielaczową, zapewniającą, jak na tamtejsze stosunki, relatywnie duże nakłady. Warto tutaj przypomnieć, że większość, jeśli nie cały samizdat świecki ukazuje się jedynie w maszynopisach.

Powstanie tych pism wiąże się z próbą odrodzenia niezależnego życia Kościoła, którego życie oficjalne zostało zniekształcone, pozbawione wszelkiej autentyczności i autonomii. Kościół oficjalny utracił niemal całkowicie swobodę działania. Między innymi pozbawiony został własnej prasy i wydawnictw. Toteż podziemne pisma katolickie miały być nową, nie podlegającą kontroli władz, formą ewangelizacji. Od roku 1980 ukazują się między innymi: "Teologicke teksty", "Informace o Cerkvi", adresowane do młodzieży "Voskreseni" oraz literackie "Prazske komunikace". Na Słowacji zaś między innymi "Nabozenstvo a spolecnost", franciszkańskie "Serafinski

poseł", "Společenstvi", "Komunia" i "Sur sum", publikujące głównie teksty papleskie.

ABC: *Redagowanie, drukowanie i czytanie takich pism ma dosyć ograniczony, choćby ze względów konspiracyjnych, charakter. Pojawiły się jednak nowe formy jawnego masowego manifestowania swych przekonań religijnych. Mam na myśli velehradzkie obchody rocznicy chrystianizacji Czech i późniejsze manifestacje w Pradze...*

A.T.: Tak, rzeczywiście jesteście świadkami kształtowania się nowych elementów odrodzenia religijnego i jednocześnie nowych form działania opozycyjnych środowisk katolickich. Na początku były pisma i wydawnictwa podziemne, później rekolekcje. Towarzyszyło temu odradzanie się tajnych zgromadzeń religijnych, które częstokroć inicjowały szereg tych poczynań. Warto chyba wspomnieć, że obecnie zgromadzenia te są o wiele liczniejsze niż w czasach ich legalnej działalności. Po powstaniu Karty 77 zaczęto także organizować akcje wokół petycji w sprawie obrony wolności religijnych.

ABC: *W jakich środowiskach renesans religijności jest najbardziej widoczny?*

A.T.: Zjawisko upadku bądź odradzania się religijności jest wyraźnie związane z przemianami społeczeństwa Czechosłowacji. Na przykład na tradycyjnie katolickich Morawach doszło do znacznego spadku religijności, co wiąże się, moim zdaniem, nie tylko z rozkładem społeczności lokalnych, ale także z postępującą materializacją postaw wsi morawskiej, bogacącej się na handlu ciągle drożejącą żywnością. Nie bez znaczenia jest również to, że na wsi i w małych miasteczkach wszyscy się znają i władzom jest tam łatwiej kontrolować postawy mieszkańców.

Do wyraźnego odrodzenia religijności doszło natomiast w dużych miastach i w wielkich ośrodkach przemysłowych, gdzie ludzie są bardziej anonimowi i mogą wybierać pomiędzy paroma kościołami (choćby i z odległej dzielnicy). Zjawisko jest tym ciekawsze, że przeczy prognozom socjologów, przewidujących (po doświadczeniach Zachodu) stopniowy zanik religijności w miastach, a utrzymanie się, siłą tradycji i przyzwyczajenia, religijności wiejskiej. Okazało się, że nowe formy religijności i nowe formy ewangelizacji spowodowały, że takie miasta jak Bratysława, Brno, Olomuniec, Ostrawa, Praga czy Hradec Kralowé stają się ośrodkami życia religijnego, intensywnością praktyk znacznie przewyższającymi wieś i małe miasteczka. W tych miastach nie tylko łatwiej zachować anonimowość i ukryć się przed

oczyma wciśbkiej władzy, ale także łatwiej można znaleźć ludzi o takich samych poglądach i postawach życiowych, co ma często ogromne wprost znaczenie.

Odrodzenie się religijności miejskiej jest zjawiskiem zaskakującym również z tego powodu, że Czechy, podobnie jak Zachód, przeżyły skutki gwałtownej industrializacji już w XIX wieku. Jednym z tych skutków był podobny jak na Zachodzie upadek religijności. Działania władzy komunistycznej były więc poniekąd ukoronowaniem długotrwałego procesu lancyzacji społeczeństwa czeskiego. Tymczasem, właśnie w warunkach systemu komunistycznego, doszło do odrodzenia religijności w miastach, zdawałoby się, że już tradycyjnie areligijnych. W warunkach totalitaryzmu komunistycznego wiara stała się dla wielu ludzi jedynym źródłem nadziei, poniekąd zastępującym tak silnie w Czechosłowacji odczuwany brak wszelkiej nadziei politycznej. Tam, w odróżnieniu od Polski, mało kto wierzy w możliwość doczekania się niepodległości i nikt chyba nie sądzi, że Związek Radziecki może się rozpaść w ciągu najbliższych stu lat. Toteż w tej beznadziei politycznej kapitalne znaczenie ma możliwość znalezienia wzajemnego zrozumienia i oparcia wśród ludzi żyjących nadzieją religijną. Tworząc niewielkie wspólnoty religijne są oni nie tylko w stanie trwać, ale i umacniać się w, co tu dużo mówić, bardzo już zsekularyzowanym społeczeństwie. Charakterystyczne jest, że znaczny odsetek aktywnych katolików czeskich stanowią ludzie młodzi z pokolenia obecnych trzydziesto- i czterdziestolatków. Cechą szczególną, wyróżniającą ich w społeczeństwie czeskim, jest to, że wielu ma pięcioro, sześcioro, a nawet siedmioro dzieci. Uważają oni często wielodzietność za specyficzną formę ewangelizacji. W społeczeństwie, gdzie większość małżeństw decyduje się na jedno zaledwie dziecko, trud wychowania tak liczного potomstwa podejmują najczęściej ludzie posiadający naprawdę wielką wiarę i nadzieję.

Pytał Pan, w jakich środowiskach renesans religijności jest najbardziej widoczny? Niewątpliwie dotyczy on głównie inteligencji. Zastanawiając się nad genezą tego zjawiska dostrzegam pewne analogie z przemianami postaw inteligencji rosyjskiej. Inteligencja czeska, podobnie jak zachodnio-europejska, odeszła od religii już w XIX wieku, gdy społeczeństwa europejskie były w swej masie zdecydowanie jeszcze religijne. Inteligencja od wiary odchodziła stopniowo, tworząc po drodze swoje własne mity, swą historię filozofii w wydaniu marksistowskim bądź liberalnym. W każdym bądź razie cechą charakterystyczną inteligencji stała się jej świeckość. Po straszliwej klęsce totalitaryzmu ateistycznego inteligencja spostrzegła, że sama tę klęskę w pewnym stopniu przygotowała, że ma w tej klęsce swój

udział, nawet jeśli nie była aż tak lewicowa jak komuniści, a jedynie socjaldemokratyczna czy liberalna - jak to u nas mówią, taka masarykowska.

Już w latach sześćdziesiątych wśród inteligencji czeskiej pojawiło się, a po klęsce 1968 roku nasiliło znacznie, zrozumienie faktu, że komunizm, socjalizm i liberalizm wywodzą się z tego samego źródła antropocentryzmu. A jak wiadomo, ruchy lewicowe były w Czechosłowacji na tyle silne, że po wojnie był to jedyny kraj, w którym komuniści w sojuszu z socjalistami doszli do władzy w wyniku prawdziwie wolnych wyborów! Z tego powodu znaczna część zlewicowanej inteligencji czeskiej ma poczucie odpowiedzialności za komunizm, tak samo jak część inteligencji rosyjskiej czuje się odpowiedzialna za rewolucję i budowę systemu komunistycznego w Rosji. Sądzę, że to poczucie winy inteligencji czeskiej jest jednym ze źródeł jej rosnącego zaangażowania religijnego. Faktem jest bowiem, że w tym właśnie środowisku najwięcej jest konwertytów.

Bywa zresztą, że wynikają z tego poważne problemy, gdyż inteligent często dąży do rozmaitych kombinacji teologicznych, ma masę wątpliwości i tak dalej. Ale z drugiej strony to, że do religii wraca - i to masowo - inteligencja, będzie miało ogromne znaczenie w przyszłości, gdyż często są to twórcy kultury, a więc ludzie mogący skutecznie oddziaływać na postawę innych.

ABC: *Czy proces odrodzenia religijnego w Czechosłowacji dotyczy także innych wyznań?*

A.T.: Tak, jest to zjawisko ogólne, gdyż ten kto żyjąc w ustroju komunistycznym znajduje wiarę, staje się człowiekiem wolnym. Zgadając się na kłopoty związane z jawnymi praktykami, śmieje się z tych problemów, bo są one niczym wobec poczucia wyzwolenia, które staje się jego udziałem. Dotyczy to oczywiście wszystkich wyznań, ale muszę powiedzieć, że potwierdza się to - co ludzie kultury wiedzieli od dawna - że w rzeczywistości Czechy nigdy nie były krajem protestanckim, lecz katolickim. Mimo, że pod koniec XIX wieku protestantyzm stał się głównym wyrazicielem urzeczywistnionej w 1918 roku idei państwowości czeskiej, Czesi wyrzekając się religii katolickiej nadal pozostali narodem o kulturze katolickiej. Trzysta lat panowania Habsburgów wycisnęło niezatarte piętno. Dlatego też dzisiaj większość ludzi wracających do chrześcijaństwa wraca do katolicyzmu. Oczywiście, najbardziej radykalni szukają rozwiązań w sektach. Rozwijają się i adwentyści siódmego dnia i świadkowie Jehowy, ale w obrazie ogólnym stanowi to margines zjawiska renesansu religijności czeskiej.

Kościół Katolicki był i pozostaje nadal najsilniejszym kościołem w Czechach. Obecnie jest w Czechach i na Morawach co najmniej półtora miliona praktykujących katolików, podczas gdy w latach pięćdziesiątych był ich najwyżej milion, i to w znacznej mierze ludzi starszych, mniej obawiających się represji. Moim zdaniem dno osiągnęliśmy jednak około 1970 roku, gdy po inwazji znowu wszyscy się bali i liczba praktykujących spadła zdecydowanie poniżej miliona. Dzisiaj z wolna zbliżamy się już do dwóch milionów katolików czeskich. Chrześcijańskich wyznań protestanckich jest razem około pół miliona. Oni też przeżywają pewien renesans religijności, ale, jak się orientuję, na dużo mniejszą skalę.

ABC: Widzi Pan w odrodzeniu religijności najsilniejszy nurt opozycji w Czechosłowacji. Czy rozwój postaw religijnych inteligencji czeskiej zmienił, Pana zdaniem, układ sił wewnątrz opozycji?

A.T.: Opozycja w Czechosłowacji jest pluralistyczna. Ukazał to już samizdat, który jest wolny i dostępny dla wszystkich, gdyż każdy może napisać książkę czy artykuł, zapłacić maszyniście za przepisanie i rozesać dwadzieścia czy trzydzieści egzemplarzy znajomym. I chociaż ciągle jeszcze nie ma w Czechosłowacji wykryształizowanych opozycyjnych środowisk politycznych, a istniejące grupy opozycyjne ciągle bardziej są aktywne na płaszczyźnie kultury niż polityki, to jednak już dzisiaj można zauważyć ich różnicowanie się ideowe. Widoczne są tendencje rozwojowe tych środowisk, wzrost lub zanik siły oddziaływania oraz ewolucja ideowa oraz polityczna. Również Karta 77, najbardziej polityczne zjawisko opozycji w Czechosłowacji, choć stroni od zdefiniowania się jako ruch polityczny i akcentuje swe zadanie obrony praw ludzkich, nie jest jednolita pod względem ideowym i politycznym. Stworzona przez trzy środowiska: byłych komunistów, protestanckich pastorów, mających problemy z władzą, oraz trudno definiowalną grupę ludzi, których wspólną cechą było to, że nie mieli przeszłości komunistycznej czy partyjnej, zachowała Karta ten pluralizm do dzisiaj. Zmieniając swych rzeczników powołuje ich zawsze trzech, reprezentujących te trzy jej główne nurty.

Na początku w jej ramach niewątpliwie najaktywniejsi, można powiedzieć, że najdzielniejsi, byli dawni komuniści. Mając wiele kontaktów na Zachodzie potrafili działać skutecznie i stąd powstał, utrzymujący się do dzisiaj na Zachodzie i w Polsce, obraz Karty 77 jako ruchu lewicowego, a nawet niekiedy rewizjonistycznego. Tymczasem byli komuniści stanowili zawsze zdecydowaną mniejszość ruchu, chociaż bywało, że istotnie próbowali

sterować Kartą. Zawsze jednak musieli czynić to bardzo ostrożnie, aby nie ułatwić zadania czekającej na taką okazję władzy. W miarę upływu czasu, wśród działaczy związanych z Kartą 77 coraz mniej było ludzi z partyjną, komunistyczną przeszłością, tym bardziej, że znaczna część najaktywniejszych rewizjonistów wyemigrowała na Zachód. Dzisiaj już nie można powiedzieć, aby ta formacja odgrywała istotną rolę w czeskosłowackiej opozycji. Zapewne Polaków dziwi istnienie takiego dzwoląga politycznego jak opozycja komunistyczna w kraju rządzonym przez komunistów. Należy jednak pamiętać, że u nas doszło do rozłamu w partii komunistycznej, gdy ruch reform przeprowadzanych przez partię komunistyczną został zdławiony przez innych komunistów po Inwazji w roku 1968. W ten sposób część komunistów znalazła się w opozycji do partii komunistycznej! Oczywiście, w ówczesnej atmosferze trudno było dalej określać się takim mianem, toteż szybko przybrali oni barwy modnego wówczas eurokomunizmu. Dzisiaj ci nasi eurokomuniści najczęściej stali się już socjalistami.

Warto tutaj zwrócić uwagę na zjawisko aktywności lewicy, które częściowo wyjaśnia utrzymywanie się mitu lewicowości czeskiej opozycji. Jest to zjawisko nie tylko czeskie czy polskie, ale wręcz uniwersalne. Dzięki tej aktywności nieraz garstka ludzi potrafi stworzyć wrażenie znacznych wpływów i własnego znaczenia. Jest to możliwe, gdyż mają oni bardzo dobre kontakty ze środowiskami lewicy zachodnioeuropejskiej, a przez to dostęp do tamtejszych środków masowego przekazu. Jest sprawą powszechnie wiadomą, że prasa, radio i telewizja na Zachodzie są pod poważnym wpływem lewicy, dużo większym niż by to wynikało z jej sił w parlamentach. Ponadto lewica zachodnioeuropejska w dużo większym stopniu od prawicy interesuje się tym, co dzieje się w Europie Środkowej czy Wschodniej. Bo cóż może obchodzić jakąś francuską lub niemiecką "endecję" los polskiej czy czeskiej prawicy. Ma to istotny wpływ na możliwości działania różnych środowisk opozycyjnych w naszych krajach. Po stronie lewicy mamy do czynienia z rodzajem międzynarodówki, podczas gdy po stronie prawicy z działaniami jednostek zainteresowanych tym, co dzieje się za żelazną kurtyną nie tylko w sferze gospodarki, ale również ideologii.

Te mechanizmy - jak sądzę - wpływają na utrzymywanie się na Zachodzie i w Polsce mylnego przekonania o dominacji lewicy w opozycji czeskiej. Dzisiaj jest w Czechach siedmiu lub ośmiu aktywnie działających w opozycji byłych dziennikarzy partyjnych i paru młodych socjalistów. W rzeczywistości lewicowa opozycja w Czechosłowacji ma dzisiaj minimalne znaczenie. Przegrała już walkę o serca i dusze społeczeństwa. Dzisiaj głównym i

najradykałniejszym ruchem opozycji jest Kościół podziemny. Ewangelizacja przezeń prowadzona zmieniła w sposób istotny światopogląd ludzi aktywnie działających w opozycji. To jednak wcale nie znaczy, że socjalizm nie ma już w Czechosłowacji żadnych szans. Socjalizm jest w pewnym sensie substytutem religii, toteż zawsze będzie istniał, gdyż zawsze będą istniały środowiska zalcyzowane, niewierzące, zawsze będą istniały środowiska katolików, dla których wiara nie stanowi głównego kierunkowskazu w życiu. Takie środowiska, tacy ludzie, będą szukać substytutu religii, będą dążyć do stworzenia Królestwa Bożego na ziemi poprzez rozwiązywanie polityczne i ekonomiczne. I dlatego, chociaż można mówić o tymczasowej klęsce lewicy w Czechosłowacji - klęsce, która wydaje się kompletna, bo ludzi określających się jako socjaliści przyjmuje się w środowiskach opozycyjnych jak przybyszów z Marsa - to nie znaczy jednak, że klęska ta jest ostateczna.

Rozmawiał Bogdan Gorski

Ukraina, Ukraińcy, Polacy...

WIERZĘ ZE POWSTANIE WOLNA UKRAINA...

rozmowa z Tarasem Kuzią

ABC: *W numerze 4 z roku 1985 "ABC" zamieściliśmy wywiad z młodym Ukraińcem, zamieszkałym w Polsce. Powiedział on między innymi, iż jego rówieśnicy czują się w naszym kraju jak na emigracji. Czy łatwo być Ukraińcem na Zachodzie?*

T.K.: Cóż, mogę mówić jedynie o uczuciach Ukraińców mieszkających w Anglii, gdzie się urodziłem. Otóż trudno tutaj być Ukraińcem, znacznie trudniej niż w Australii, Kanadzie czy USA. W tym ostatnim kraju, dzięki systemowi "melting pot", czyli tygiu stapiającego narodowości, można być jednocześnie Amerykaninem i Ukraińcem; dotyczy to również Kanady. W Australii rozwój poszczególnych kultur narodowych popiera tamtejszy rząd, natomiast w Wielkiej Brytanii nawet nie istnieje pojęcie "brytyjskiej ukraińskości" i trudno tutaj znaleźć swoje miejsce. Innym problemem jest nasze odcięcie od korzeni, gdyż utrzymujemy bardzo niewiele kontaktów z ojczyzną, podczas gdy Ukraińcy z USA czy Kanady podróżują tam znacznie częściej. W pewnym stopniu jest to skutkiem powojennej polityki imigracyjnej Stanów Zjednoczonych, które zezwalały na przyjazd wyłącznie wykształconych Ukraińców, co spowodowało, iż znalazła się tam niemal wyłącznie nasza inteligencja. Do Anglii przywędrował, by tak rzec, "gorszy materiał ludzki", osoby popoziłitego pochodzenia, trudniej adaptujące się do nowego otoczenia, do zmieniających się warunków.

Nadto, ze względu na wzmagającą się w środowisku Ukraińców brytyjskich apatię - a jest ona silniejsza w ostatnim dziesięcioleciu niż w poprzednim

- coraz trudniej jest być Ukraińcem. Ta ostatnia uwaga dotyczy, co chciałbym podkreślić, nie tylko nas, ale i na przykład emigracji polskiej, czy też jakiegokolwiek innej.

ABC: *Jakie czynniki, jakie okoliczności wzmacniają ukraińską świadomość narodową na emigracji?*

T.K.: Znów zastrzeżenie: mogę mówić jedynie o własnych doświadczeniach, o warunkach angielskich. Otóż pierwszym czynnikiem jest tutaj rodzina. Zanim w wieku 5 lat pójdzcie się do szkoły, do angielskiej szkoły oczywiście, jedynym językiem, jaki się zna, przynajmniej jaki ja znałem, jest język ukraiński, choć z drugiej strony Ukraińcem był jedynie mój ojciec, matka była Włoszką. Łączy się z tym również inny problem - czyj wpływ w dzieciństwie okazuje się silniejszy. Chodzi o to, że wielu młodych Ukraińców pochodzi z małżeństw mieszanych. Po ostatniej wojnie znalazło się w Anglii znacznie więcej Ukraińców-mężczyzn niż kobiet - proporcja wynosiła mniej więcej 5 do 1. Mężczyźni ci pochodzili m.in. z niemieckich obozów pracy przymusowej i z ukraińskich formacji zbrojnych walczących razem z Niemcami. Mój ojciec przybył z takiego obozu. To właśnie jego osobowość i jego wychowanie okazały się silniejsze - do tego stopnia, że nie czuję żadnych związków z Włochami, nawet nie mówię po włosku.

Tak więc, gdy miałem 5 lat, używałem niemal wyłącznie języka ukraińskiego, nie zaś angielskiego. Potem, chodząc do szkoły, znalazłem się wśród Anglików, co rzecz jasna wywarło wpływ na moją osobowość. Zapisano mnie także do ukraińskiej szkoły niedzielnej. Uczono nas tam religii, spotykaliśmy się w gronie rówieśników, w ukraińskim domu kultury uczyliśmy się tańca - i tak dalej. Pierwsze 10-12 lat mojego życia zdominowały szkoła, kościół, dom kultury, wreszcie dom rodzinny. Świadomość młodego Ukraińca kształtowana jest więc przez otoczenie, przez środowisko, tyle że w moim wypadku silny wpływ wywarł ojciec. Przypomina to nieco sytuację w Polsce: obraz świata zamieszkałych tam młodych Ukraińców kształtuje to, co od dziecka wpaja im ojciec - chodzi tu o poglądy, przekonania, nawet stereotypy historyczne - także poprzez podsuwaną dziecku lekturę. W Polsce spotkałem na przykład młodych Ukraińców żyjących w zamkniętych społecznościach ukraińskich na północy, którzy o Polakach wiedzieli tylko tyle, ile dowiedzieli się od własnych ojców. Ci ludzie byli nastawieni bardzo antypolsko, ale z chwilą rozpoczęcia nauki na wyższej uczelni, z chwilą dostania się w polskie środowisko, to nastawienie antypolskie maleje.

W Wielkiej Brytanii część Ukraińców żyje w podobnych, zamkniętych społecznościach. Często wyrwanie się z takiego kręgu wymaga dużo czasu i sporo wysiłków. Gdy miałem 15-17 lat i spierałem się z kolegami na temat ZSRR (a panowała wtedy moda na lewicowość), zarzucali mi oni, iż przeszedłem "pranie mózgu". Nie rozumiałem wtedy, dlaczego - dopiero potem, w miarę lektur i ulegania naturalnym wpływom otoczenia, okazywało się, że nic nie jest tak proste, jak mówił mi ojciec. Taka przemiana następuje zwykle wtedy, kiedy młody człowiek opuszcza dom rodzinny i wstępuje na uniwersytet - otwiera się wtedy umysł: na świat, na zapatrywania innych ludzi, ich poglądy - i tak dalej. Dochodzi do zwiększenia dystansu dzielącego młodego Ukraińca od rodziców, czyli od poprzedniego pokolenia, od domu. Ciekawa rzecz: gdy chodziłem do szkoły, będącej odpowiednikiem polskiej "podstawówki", przebywałem wyłącznie w środowisku Ukraińców, bo chłopcy tacy jak ja mieli niemal wyłącznie przyjaciół-rodaków. To zmieniło się w średniej szkole, lecz tam najczęściej rozmawiałem i kiściłem się z Polakami. O co? O to, kto ma większe prawa do rozmaitych terytoriów, Polacy czy Ukraińcy. Argumentami bywały nie tylko słowa ...

ABC: *Wśród czynników utrzymujących poczucie ukraińskości wymieniles także Kościół. Powiedz coś więcej o jego roli w utrzymaniu świadomości narodowej.*

T.K.: Kościół istotnie grał w naszym życiu dużą rolę gdy byliśmy młodzi. Potem jednak, w miarę naszego dorastania, ta rola stopniowo słabła. Pamiętam, że większość młodzieży ukraińskiej służyła do mszy, chodziła na lekcje religii prowadzone przez zakonnice i tak dalej. Jestem oczywiście katolikiem, zaś Kościół katolicki zawsze miał duże znaczenie dla naszej społeczności - tak samo jak dla Polaków. Ze względu zaś na to, iż Kościół jest nielegalny na Ukrainie, nasza opozycja narodowa zawsze była równocześnie opozycją religijną.

Kościół budził ukraińską świadomość narodową, jednak tylko do pewnego momentu - jego wpływy zmniejszyły się z dwóch powodów. Po pierwsze ze względu na to, iż Kościół ukraiński przepojony jest duchem patriarchy, dotyczy to zwłaszcza Kościoła działającego tutaj, w Wielkiej Brytanii. Po wtóre, ów spadek wpływów można wytłumaczyć pewną ogólną tendencją: coraz mniej ludzi odbywa regularne praktyki religijne, zwłaszcza młodzież pozostająca pod wpływem zlaicyzowanego otoczenia.

W latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych Watykan, o czym nie należy zapominać - przejawiał wrogość wobec patriarchy Kościoła

ukraińskiego, co oczywiście zmieniło się za czasów obecnego papieża, ale zaważyło na stosunku Ukraińców do Kościoła katolickiego. Nadto, ukraińska społeczność w Wielkiej Brytanii jest podzielona na dwie grupy. Dominującym ugrupowaniem są banderowcy, ja sam zresztą wyrodełem w tym środowisku. Inną grupą to "niebanderowcy", do której należą wszyscy inni, czyli melnykowcy, dwikari, także URDP (Ukraińska Rewolucyjna Partia Demokratyczna), składająca się z prawosławnych Ukraińców wschodnich. Otóż okazało się, że banderowcy opowiedzieli się za linią patriarchatu, zaś "niebanderowcy" zaoponowali. Ich zdaniem należy popierać, by tak rzec, wszystkie legalne "drogi katolickie". Podzieliło to katolicką społeczność ukraińską w Wielkiej Brytanii jak chyba w żadnym innym kraju, wywarło również wpływ na orientację religijną wielu młodych Ukraińców. Istnienie tych różnic i podziałów wielu zniechęciło do Kościoła, gdyż częstokroć nie rozumieli, że za tym sporem kryje się walka o prymat banderowców bądź melnykowców.

Ow spór o stosunek do patriarchatu miał głębsze podłoże. Był on aporem dwóch odrębnych społeczności, które powstały i rozwinęły się w Wielkiej Brytanii począwszy od wczesnych lat pięćdziesiątych. Dlaczego o podobnych kontrowersjach nie słychać na przykład w USA? Dlatego, że poza Wielką Brytanią melnykowcy oraz inne ugrupowania poparły patriarchat, nie bacząc na stanowisko Watykanu. Interesujące, iż pierwszym ugrupowaniem, które rozpoczęło w Anglii kampanię na rzecz patriarchatu, kiedy to w roku 1963 kardynał Józef Slipyj uwolniony został z sowieckiego łagru, byli *dwikari* w USA, ludzie skupieni wokół "Suczasnisti". Banderowcy, aż do lat 1973-74, utrzymywali, że skoro na wolność wyszedł wyłącznie Slipyj, musiał być on z pewnością agentem KGB ...!

ABC: *Na ile istotny, w warunkach emigracyjnych, jest podział na greko-katolików i prawosławnych? Podział, który dla Ukraińców ma zapewne daleko idące skutki.*

T.K.: Nie jestem w tej dziedzinie autorytetem, uważam jednak, że podział ten jest wyolbrzymiany, szczególnie przez nie-Ukraińców, głównie przez rosyjskich nacjonalistów, usiłujących podzielić Ukraińców na wschodnich i zachodnich. Z drugiej wszakże strony trzeba pamiętać, iż większość naszej emigracji stanowią katolicy, jako że pochodzą oni z Ukrainy Zachodniej, z Galicji (dotyczy to nie tylko emigracji powojennej, ale także znacznie starszej, tej z końca XIX wieku). Z kolei większość Ukraińców zamieszkałych na Ukrainie to osoby wyznania prawosławnego. Na 40 milionów tylko 5 milionów to katolicy, ale na Zachodzie katolicy stanowią 70-80 % ogółu

emigrantów ukraińskich. Moim zdaniem raczej nie istnieje konflikt na tle, o które pytasz, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę to, iż oba Kościoły działają na terenie Ukrainy nielegalnie. Choć istnieją pewne konflikty na tle teologicznym między katolikami a prawosławnymi, to jednak, ponieważ ukraiński Kościół katolicki jest kościołem unickim, większość jego obrządków i ceremonii należy w istocie do prawosławia i w Kościele tym niewiele widać wpływów rzymskiego katolicyzmu. Między mszą odprawianą według obrządku unickiego i prawosławnego niemal nie dostrzega się różnic. Sądzę ponadto, iż podziały te odnoszą się wyłącznie do emigracji.

Gdyby doszło do powstania wolnej Ukrainy, wszystkie te różnice nie miałyby większego znaczenia, a nawet, jak sądzę, doszłoby do zjednoczenia Kościoła katolickiego z Cerkwią prawosławną. Choć z drugiej strony wielu działaczy katolickich pochodzących z Ukrainy Zachodniej, na przykład Terella i inni jemu podobni, zrażeni poczynaniami rosyjskiego Kościoła prawosławnego, jego silnym nacjonalizmem i prosowieckością, zaczęło występować przeciw temu Kościołowi. Niekiedy twierdzi się o nich, iż są w ogóle przeciwni prawosławiu, nie biorąc pod uwagę tego, iż chodzi im o rosyjski Kościół prawosławny.

ABC: *Z tego, co dotychczas powiedziałeś, wynika, iż wyrastałeś i dojrzewałeś na emigracji, z dala od ojczyzny, a obecnie uczestniczysz w działaniach będących kontynuacją walki o "samostijną Ukrainę"; która to walka była celem dążeń poprzedniej generacji wychodźczej. Z czym Twoje pokolenie - pokolenie Ukraińców-niepodległościowców wiąże nadzieje? Czy dostrzegasz różnice w postawach i nadziejach pokolenia Twojego i poprzedniego?*

T.K.: W miarę dorastania, poznawania świata, nowych ludzi - zwłaszcza nie-Ukraińców, w miarę lektur, rozszerzania horyzontów - i tak dalej - zaczyna się dostrzegać, iż problem wolnej Ukrainy staje się coraz, by tak rzec, trudniejszy; traci on dawną prostotę, nabiera wielorakich, nowych znaczeń, nie jest to już prosta odpowiedź na proste pytanie, które nauczyli nas rodzice, której nauczyli nas ojciec. Ponadto wychowałem się, o czym trzeba pamiętać, w społeczności banderowskiej, a dla młodych ludzi pochodzących z tego środowiska polityka bywa czasem czymś odpychającym, czymś, czym nie warto się zajmować, interesować. Przyczyną takiej postawy jest nietolerancja okazywana przez banderowców osobom o odmiennych niż oni poglądach i zapatrywaniach, i usiłowanie "zmonopolizowania" wszystkiego. Na dobitkę wchodzi tu w grę "życie przeszłością", czyli coś, co jest

oczywiście bardzo charakterystyczne dla każdej emigracji, jednak dla pewnych grup ukraińskich jest charakterystyczne w szczególności. Rozdział międzypokoleniowy jest u nas bardzo duży - z wielu powodów, o których zaraz powiem więcej. Otóż większość dzieci ukraińskich w Wielkiej Brytanii urodziła się dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, albo na początku lat sześćdziesiątych, czyli wtedy, kiedy całej emigracji ukraińskiej powodziło się daleko lepiej aniżeli poprzednio. Rodzice tych dzieci często przybyli na Wyspy w latach dwudziestych i decydowali się na potomstwo w późnym okresie życia. Oznaczało to powstanie około dwudziestoletniej luki między pokoleniem moich rówieśników, a pokoleniem rodziców.

My, to znaczy ich dzieci, należymy do całkowicie innego świata. Nasi rodzice pochodzą ze środowiska wiejskiego, nie-przemysłowego, nie-demokratycznego i tak dalej. Ludzie ci posiadali niewielkie wykształcenie, jeśli w ogóle jakieś posiadali; często też cierpieli nędzę. My zaś wyrastaliśmy w społeczeństwie nowoczesnym, miejskim, otwartym, demokratycznym, nie musimy się już martwić, tak jak tamci, że do naszych okien zakolatają nagle żołnierze rosyjscy, polscy bądź niemieccy... Żyjemy w zupełnie innym świecie, jest zatem naturalne, iż nasze poglądy są także inne. Na przykład kładziemy większy nacisk na sprawę demokracji, praw człowieka, na to, co niekoniecznie było ważne dla poprzedniego pokolenia.

Starsze pokolenie okazało się niezdolne do wyrwania się z "ideologicznych więzów", czy też "gett". Widzą oni świat takim jakim go przedstawiają ich własne gazety i periodyki partyjne, które czytują (tylko nieliczna grupa zna dobrze język angielski), a prasa ta koncentruje się na przeszłości, szczególnie na latach trzydziestych i czterdziestych. Odpowiada to zapotrzebowaniom starszych emigrantów ukraińskich. Naszą generację interesuje przede wszystkim współczesność.

Jakie są nadzieje naszego pokolenia? Cóż, wielu młodych Ukraińców odrzuca politykę z powodu - jak już wspominałem - sprzeciwu wobec postaw rodziców, przejawiających nietolerancję wobec odmiennych poglądów. Zwracają się oni zatem ku kulturze, a często bywa, iż w ogóle opuszczają społeczność ukraińską. Jednak wiara w to, co można wyrazić prostym pytaniem: "Czy wierzysz w nadejście wolnej Ukrainy?", jest bardzo silna. Wyniki ankiety przeprowadzonej wśród kilku grup młodych Ukraińców wykazały, iż ludzie ci są optymistami, wierzą w to, że jeszcze za ich życia powstanie wolna Ukraina. Interesujące jest porównanie tej postawy z postawą Polaków, wśród których wprowadzenie stanu wojennego wywołało powszechny pesymizm. Ukraińcy

przeszli już tak wiele, iż stać ich - by użyć takiego wyrażenia - na optymizm w sytuacjach, w których Polacy są pesymistami. Zresztą z uzasadnionych dla siebie powodów... Ten pesymizm Polaków był dla mnie osobliwie - mimo wszystko - dość zaskakujący.

Nadzieje mojego pokolenia nie są związane z naszymi emigracyjnymi partiami politycznymi, napływ młodych Ukraińców do tych organizacji jest zresztą niewielki. Zdominowane zostały one przez starsze pokolenie, żyjące całkowicie przeszłością. Ponadto wielu działaczy tego pokolenia prezentuje poglądy zdecydowanie wsteczne. To wszystko nie przyciąga młodych ludzi i powoduje, że partie te nie cieszą się popularnością w samej Ukrainie, gdzie mało kto wiąże z nimi swe nadzieje na przyszłość.

Zupełnie inaczej jest z Polakami i Rosjanami. Począwszy od lat siedemdziesiątych nasilił się napływ nowych emigrantów na Zachód, co było zastrzykiem świeżej krwi, wprowadziło ferment do środowisk emigracyjnych, stając się zaczątkiem nowych idei, nowych prądów, nowych organizacji, nowego sposobu myślenia. Rosjanie są w podobnej sytuacji, choć u nich emigrację zasilają głównie zrussyfikowani Żydzi - pochodzący m.in. z Ukrainy.

Ukraińska emigracja na Zachód zakończyła się w latach czterdziestych. Od wczesnych lat pięćdziesiątych po dziś dzień obraz polityczny tej emigracji pozostaje taki sam, zaszły tylko niewielkie zmiany.

Nasze główne nadzieje powinny zatem łączyć się z Ukrainą, nasze poczynania na Zachodzie musimy dostosowywać do tego, czego pragną ludzie zamieszkali w ojczyźnie. Nie powinniśmy natomiast próbować dyktować tamtejszym Ukraińcom, o czym i jak powinni myśleć i co powinni czynić. Powinniśmy im jedynie pomagać. Nadzieje nasze umacniają dążenia narodowościowe w ZSRR, które bardzo się nasiliły w ciągu ostatnich kilku lat. Nawet tacy emigranci jak ja mogli przejawiać pesymizm u schyłku lat siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych, kiedy to zachodziły rozmaite niekorzystne i złowroźne wydarzenia, na przykład rozbiście Grupy Helsińskiej, zaś na Ukrainie rozpoczęto realizowanie polityki rusyfikacji. W ostatnich latach można jednak zaobserwować niesłychanie silne dążenie narodowościowe w mojej ojczyźnie, jest to coś, czego nasze ziemie nie widziały do trzydziestu lat.

Takie dążenia do niezależności narodowej dostrzega się także gdzie indziej... Widać zatem, iż sytuacja rozwija się w ten sposób, że Imperium sowieckie zapewne rozpadnie się pod naciskiem tych odśrodkowych sił

narodowościowych, jedynej sily zdolnej do tego doprowadzić. Nie doprowadzą do tego przecież nacjonalizm wielkorusyjski czy też strajki robotników... Jeśli imperium upadnie, upadek ów zmieni całkowicie oblicze Europy Wschodniej.

Sytuacja na Ukrainie przypomina, jak sądzę, sytuację w Polsce w drugiej połowie lat siedemdziesiątych; potrzeba jeszcze lat, nim osiągniemy stan Polski sprzed 13 grudnia 1981 roku. Wszystko wskazuje na to, iż właśnie do tego zmierzamy.

ABC: Czy ta przemiana generacyjna, o której mówicie, ułatwia w sposób istotny - tu, na emigracji - dialog i pojednanie z Polakami?

T.K.: To dość złożona sprawa. Zaczniemy może od starszego pokolenia. Problem dialogu polsko-ukraińskiego nie jest czymś, czym powinna się zajmować wyłącznie nasza emigracja, czy też wyłącznie mieszkańcy Ukrainy. Jest to wspólne zadanie Polaków i Ukraińców w ich ojczyznach. Każde działające na Zachodzie ukraińskie ugrupowanie polityczne interesuje się, oczywiście w rozmaitym stopniu, jakąś formą dialogu z Polską, z Polakami. Dotyczy to nawet tak ekstremistycznej grupy jak banderowcy. Stoją oni zresztą w jednym szeregu z polską KPN, w bloku antyboiszewiskim; są oni też członkami Ligi Antykomunistycznej. Tak więc banderowcy współpracują z KPN, prowadzą dialog, nawet mimo iż wiedzą, że te dwie organizacje znacznie różnią się od siebie.

Inne grupy ukraińskie, zwłaszcza te, które są bardziej demokratyczne, także przejawiają zainteresowanie dialogiem z Polakami, rozumieją potrzebę takiego dialogu. Nie tylko zresztą z Polakami, także z Rosjanami, choć znacznie łatwiej o polskich partnerów do takiego dialogu, niż o rosyjskich. Jeśli bowiem chodzi o emigrację rosyjską, to jej demokratyczne, nie-imperialistyczne grupy są w mniejszości, większość stanowią niestety formacje nacjonalistyczne, imperialistyczne. Ale wszelkie wysiłki zmierzające do nawiązania dialogu zarówno z Polakami, jak Rosjanami, są traktowane przez nas przychylnie. Nie ma żadnych wątpliwości jeśli chodzi o ich celowość, wynika z geografii, również z liczebności narodów zamieszkujących sąsiadujące terytoria. Bez ich współpracy zawsze będzie możliwa polityka *divide et impera*, Sowieci stale będą podjudzać narody przeciwko sobie.

Jeśli chodzi o młode pokolenie Ukraińców, to stosunek do dialogu z Polakami przedstawi się rozmaicie. Młodzi ludzie nie są bowiem, o czym już wspominałem, zbyt aktywni w polityce prowadzonej przez emigracyjne

ugrupowania ukraińskie; nie należą oni przy tym do żadnych ugrupowań, nie uczestniczą w rozmowach, nie podpisują oświadczeń, nie biorą w spotkaniach z nie-Ukraińcami. Mógłbym podać tutaj wiele przykładów. Pamiętam, iż na jednym ze spotkań ruchów opozycyjnych, które odbyło się niedawno w USA, wszyscy obecni tam Ukraińcy byli ludźmi starszymi, wszyscy Polacy - młodymi. Ukraińskie partie emigracyjne zostały zdominowane przez starsze pokolenie. Nie należy zapominać przy tym, iż młodszej generacji nie ciągnie dziś już tak - mam na myśli lata osiemdziesiąte - do polityki, jak w latach sześćdziesiątych. Uczestniczą oni raczej w kulturze niż w polityce, są nastawieni do życia bardziej materialistycznie, konsumpcyjnie. Nie czują więc potrzeby uczestnictwa w jakimkolwiek dialogu, bo sprawy te ich nie obchodzą, rozgrywają się gdzieś obok.

Gdy dojdzie do nawiązania kontaktów między młodymi Ukraińcami nie należącymi do partii politycznych, oraz, powiedzmy, młodymi Polakami, nie zaistnieją, jak należy przypuszczać, żadne problemy z rozwinięciem dialogu między tymi grupami. Oczywiście - to, czy ów dialog zostanie nawiązany, będzie zależało od obydwu stron, ponieważ - jest to reguła obowiązująca zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce - młodym, wykształconym ludziom łatwiej przelamywać stereotypy we wzajemnych kontaktach, łatwiej porozumiewać się, czy po prostu rozmawiać ze sobą. Zauważ tylko - gdy przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego zajmowałem się propagowaniem wśród naszej starszej, mało wykształconej emigracji ideałów "Solidarności", nazywane mnie "lachofilem", czy też "połonofilem". Młodzi Ukraińcy, posiadający większe wykształcenie, nigdy mi czegoś takiego nie powiedzieli. A zatem, gdy takie grupy, do których między innymi ja sam należę, nawiążą kontakty na przykład z polskimi studentami, czy też z młodą polską inteligencją, nie będzie, jak wspomniałem, żadnych problemów z utrzymaniem tych więzów i z prowadzeniem dialogu. Jeżeli zaś chodzi o waszą emigrację, będzie to o tyle łatwe, że zasiliło ją ostatnio wielu młodych Polaków, których postawy i przekonania obrazują przemiany w światopoglądzie, jakie zaszły w waszym kraju. Podstawową zasadą jakiegokolwiek dialogu, czy to z Polakami, czy z Rosjanami, musi być - z naszego, ukraińskiego punktu widzenia - wyrzeczenie się przez nich wszelkich dążeń imperialistycznych, mocarstwowych - chodzi tu o terytoria ukraińskie. Właśnie dlatego trudno nam nawiązać dialog z tymi odłamami emigracji polskiej, która trzyma się zasad powrotu do granic z 1939 roku, natomiast nie ma żadnych kłopotów, jeśli chodzi o współpracę z, tak ich nazwijmy, demokratycznymi Polakami: łatwiej znajdujemy z nimi wspólny język i wspólne tematy niż z Rosjanami. (Niedawna konferencja ukraińsko-polska zakończyła się sukcesem, ale

ukraińsko-rosyjska - porażką.)

Istnieje jeszcze jedno zagadnienie, często pomijane w kontekście stosunków polsko-ukraińskich. Mówiłem już, że większość Ukraińców na emigracji pochodzi z Galicji, z Ukrainy Zachodniej, która do 1939 roku była częścią Polski; przybyli oni na Zachód nie pozbywszy się uprzedzeń antypolskich, i uprzedzenia te przekazywali swoim dzieciom. To samo dotyczy wielu Polaków pochodzących także stamtąd - często mają oni uprzedzenia wobec nas. Efekt? Przeciętny Ukraińiec i Polak nie są zainteresowani nawiązaniem dialogu, chęć tę przejawiają jedynie poszczególne grupy, środowiska. Przeciętny Ukraińiec, zwłaszcza banderowiec, zwykle nie chce mieć nic do czynienia z Polakami ...

ABC: *Właśnie, mówiliśmy już kilkakrotnie o podziałach światopoglądowych, ideowych, organizacyjnych, istniejących wśród emigracji ukraińskiej. Z Twojej wypowiedzi wynika, iż czujesz się związany z nurtem demokratyczno-niepodległościowym tej emigracji. Daleko idącym podziałom politycznym, ideowym, podlega także opozycja i emigracja polska. W zasadzie wydaje się, że łatwiej prowadzić dialog i zbliżać się ku pojednaniu, stojąc na pozycjach lewicowca; wydaje się, iż lewica polityczna łatwiej może się ze sobą porozumiewać. To, co mówisz o porozumieniu między KPN a banderowcami należy rozumieć raczej jako sojusz polityczny, niż element dialogu i pojednania między narodami. W poprzedniej rozmowie pół żartem, pół serio określiłeś się mianem "ukraińskiego nacjonalisty", co rozumiem jako myślenie kategoriami interesu narodowego. W Polsce też bardzo często myślenie takimi kategoriami określane bywa jako "nacjonalizm". Czy widzisz zatem możliwość dialogu, pojednania - a w perspektywie być może współpracę środowisk o orientacjach nielewicowych?*

T.K.: Tak, zdecydowanie tak! Najpierw jednak wyjaśnię, co rozumiem pod pojęciem "ukraiński nacjonalista". Otóż moim zdaniem, oraz zdaniem wszystkich Ukraińców - od skrajnej lewicy po skrajną prawicę - oznacza to dążenie do powstania wolnej, niezależnej Ukrainy. Żadna emigracyjna grupa ukraińska nie stawia przed sobą celów imperialistycznych, mocarstwowych. "Nacjonalista" jest więc kimś, kto pragnie prawa do istnienia wolnego kraju. Można to w pewnym sensie porównać do nacjonalistów państw Trzeciego Świata. Jeśli lewicowcy w Wielkiej Brytanii prowadzą kampanię na rzecz nacjonalistów Czarnej Afryki, również popieram prawo tych ludzi do własnego kraju. Dlaczego zatem ci lewicowcy nie mieliby poprzeć moich własnych praw

i dążeń do wolnej i niezawisłej Ukrainy? Nie widzę żadnych sprzeczności między tymi dwoma przypadkami. Stawiam więc nacjonalizm w pozytywnym świetle. Chcę wszelako dodać, iż rozmaite emigracyjne grupy ukraińskie są bardzo zróżnicowane - w sposób nie zawsze podobny do polskich. Nie mamy tu na przykład odpowiednika waszej endecji, nie ma też grupy uważającej za najlepsze wyjście "finlandyzację" Ukrainy, czy też jej "autonomizację". Nawet nasi trockiści, bądź też socjaliści opowiadają się za niezależną, socjalistyczną, demokratyczną Ukrainą. Jeśli więc rozumiesz, czym jest dla mnie nacjonalizm, łatwo dostrzeżesz, że nawet ci trockiści także są ukraińskimi nacjonalistami. Zresztą każdego, kto występuje w obronie ukraińskiego języka, czy choćby kultury, określa się w ZSRR mianem "banderowca", "burżuazyjnego nacjonalisty" i tak dalej. Leonid Płuszcz opisuje w swoich pamiętnikach "Karnawał historii", iż gdy w kijowskim hotelu usiłował mówić do recepcjonisty po ukraińsku, tamten nazwał go "banderowcem" - tylko dlatego, że mówił po ukraińsku ... Szumuknin, który w latach siedemdziesiątych wyemigrował na Zachód, a przedtem był osadzony w łagrach, zanotował w swoich dziennikach takie oto zdarzenie: gdy przebywał w Odessie, najbardziej zrusyfikowanym mieście ukraińskim, także próbował mówić po ukraińsku. Spotkał się wtedy z następującą reakcją: "dlaczego używacie tego banderowskiego języka?!" Na Ukrainie nawet największy demokrata może zostać oskarżony o nacjonalizm tylko dlatego, że broni prawa do własnego języka i kultury, że broni praw własnego narodu. Ciekawa rzecz: w sowieckojęzycznej prasie ukraińskiej zaczęło się ostatnio ukazywać wiele "rewelacji", dotyczących kondycji ukraińskiej kultury, ojczystego języka, także o tym, co zaszło na Ukrainie w latach trzydziestych. Gdyby w epoce przedgorbaczowskiej coś takiego wyszło spod piór naszych dysydentów, ludzie ci natychmiast znaleźliby się w łagrach z 15-letnimi wyrokami, nadto natychmiast nazwano by ich "nacjonalistami". Widać zatem, iż wydźwięk takiego określenia wciąż ulega zmianom, choć w kontekście sowiecko-ukraińskim termin "nacjonalista", czy też "banderowiec" w dalszym ciągu ma wydźwięk zdecydowanie pejoratywny.

Toteż chociaż w Polsce określenie "nacjonalista" ma również nienajlepszy wydźwięk, to cóż, nie widzę żadnych przeszkód, żebyśmy my, Ukraińcy, nawiązali stosunki z waszymi "nacjonalistami". Zastrzegam tylko, że należy dokonać tutaj rozróżnienia, gdyż jeżeli w grę wchodzi tacy polscy "nacjonalisci" jak "nacjonalisci" sowieccy w rodzaju osób, powiedzmy, z NTS, czy ludzi związanych ze Zjednoczeniem "Pamięć" - to jest rzeczą oczywistą, że nie chcemy mieć z nimi do czynienia. Jeśli polski "nacjonalista" pragnie, by w przyszłości powstało imperium "od morza do

morza", to jest dla nas nie do zaakceptowania.

Jeśli jednak aktywność polskiego "nacjonalisty" przejawia się w obronie własnego kraju, w wysiłkach na rzecz uwolnienia go spod panowania obcej potęgi - chodził mi tutaj o ZSRR - jeśli pragnie on jedynie lepszej przyszłości i lepszego życia dla swojego narodu, prawa do niepodległości, jeśli uważa on, iż Polska powinna istnieć w dotychczasowych granicach jako wolne, niezawisłe państwo, prowadzące własną politykę wewnętrzną i zagraniczną - nie widzę żadnych przeszkód w utrzymywaniu stosunków z takim "nacjonalistą". Członków Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość" zaliczam właśnie do takich "nacjonalistów" - nie istnieją żadne przeszkody, żeby prowadzić z nimi dialog i wchodzić w porozumienia polityczne.

Nie widzę przeto żadnych problemów, jeśli chodzi o polskich "nacjonalistów", wprost przeciwnie - dostrzegam je, jeżeli w grę wchodzi polscy "nie-nacjonalisci": chodzi mi o takich Polaków, którzy pragną ubić interes z Gorbaczowem. Czytając wywiady, których udzielił Adam Michnik, odnosi się nieodparte wrażenie, iż opozycjonista ów nie rozumie i nie dostrzega problemu narodowościowego w ZSRR. Nie tylko go nie rozumie, ale uznaje za zupełnie pozbawiony znaczenia: otóż z takimi osobami jak właśnie Michnik byłoby bardzo trudne, czy wręcz niemożliwe dla każdego ugrupowania ukraińskiego - od skrajnej lewicy po skrajną prawicę - nawiązanie kontaktów. Osoby te interesuje, jak już powiedziałem, ubicie interesu z Gorbaczowem w interesie Polski, tutaj ważna jest tylko Polska. Większym problemem jest zatem, jak sądzę, porozumienie z polską lewicą niż z prawicą, bowiem lewica ta troszczy się jedynie o sprawy Europy Wschodniej do linii Bugu i Niemna, zupełnie zaniedbując problemy ZSRR. Przykładem takiej postawy jest pismo "Reporter", w którym nigdy nie znalazłem niczego o ZSRR. Polska lewica, wyjąwszy nowo utworzoną PPS, która to partia głosi, jak słyszę, inne poglądy, choć jest zainteresowana Europą Wschodnią woli nie podnosić problemu ukraińskiego, czy też w ogóle problemu narodowościowego w ZSRR. Sądzę, iż dla ugrupowań ukraińskich jest bardzo trudne, może wręcz niemożliwe, utrzymywanie stosunków z tymi, którzy propagują ideę, nazwiemy to, "Polski autonomicznej" bądź "Polski sfinlandyzowanej". Gdzież bowiem w takich koncepcjach jest miejsce dla Ukrainy, czy też na przykład republik nadbałtyckich?

ABC: *Mówimy tutaj o możliwościach współdziałania, współpracy i pojednania. Czy zgodzisz się, że istotnym kryterium oceny uczciwości partnerów w dialogu i ewentualnych partnerów we współpracy polsko-ukraińskiej powinien być ich stosunek do mniejszości*

narodowych? Chodzi mi o mniejszość ukraińską zamieszkałą w Polsce i mniejszość polską na Ukrainie.

T.K.: Jak już mówiłem wcześniej, nawiązanie dialogu, czy to z emigracją ukraińską, czy Ukraińcami zamieszkałymi w mojej ojczyźnie nie jest problemem. Istota tego zagadnienia tkwi w Polsce, w Polakach. Mam nadzieję, iż kolejnym stadium dialogu będzie dialog Polaków z Ukraińcami mieszkającymi na terenie Polski. Uważam, iż bieg wypadków właśnie do tego prowadzi, zarówno jeśli chodzi o Kościół, część prasy oficjalnej, oraz część prasy podziemnej. Jak słyszałem, w Polsce panuje zainteresowanie wszelkimi mniejszościami narodowymi, jestem więc pewny, iż dojdzie do takiego dialogu na szerszą skalę. Wypadki rozwijają się w kierunku nawiązania takiego dialogu. W wywiadzie z Ukraińcem pochodzącym z Polski, jaki ukazał się na łamach "ABC", oraz w innym wywiadzie, także z Ukraińcem, opublikowanym na łamach pisma "Nowa Koalicja", rozmówcy stwierdzili jasno i wyraźnie, iż stosunek do ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce nie jest bynajmniej jednolity, co wynika zresztą w sposób naturalny ze zróżnicowań politycznych i podziałów społecznych. Z drugiej wszelako strony, zarówno dla emigracji ukraińskiej na Zachodzie, jak i dla Ukraińców mieszkających na Ukrainie, podstawą dialogu, punktem wyjścia, jest problem granic, który nie jest - co warto zauważyć - zapewne głównym zagadnieniem dla Ukraińców mieszkających w Polsce, dla nich jest on jakby częścią ogólnego stosunku: Polacy-Ukraińcy. (Dodam, iż ów stosunek nie może być nacechowany - ze strony Polaków - ani szowinizmem, ani ciągotami ku mocarstwowości). Oczywiście, Ukraińcy mieszkający na Ukrainie i na Zachodzie zawsze będą popierać mniejszość ukraińską w Polsce; o mniejszości tej często można przeczytać w naszej prasie emigracyjnej, przede wszystkim banderowskiej, jednak nie tylko. Ukraińcy, jak sądzę, powinni wskazywać Polakom - w taki sposób, by nie wywoływało to zbędnych zadrążeń - problemy tej grupy osób. Jej codzienne kłopoty, z którymi musi się ona borykać. Bardzo wielu bowiem Ukraińców z Polski po wyjeździe na Zachód zaczyna dawać wyraz swojej antypolskości. Powodem tego są cierpienia, których ich rodacy tam doznali, które przeszli oni sami, bądź też, o których słyszeli od rodziców. Taka postawa bywa przeszkodą w dialogu, na przykład w Toronto, gdzie starsza emigracja bardzo popierała ideę porozumienia, natomiast nowsi przybysze stanowczo byli jej niechętni. Dialogu oczywiście nie chce władza komunistyczna - ani w Polsce, ani na Ukrainie. Woli ona, by utrzymało się wzajemne negatywne nastawienie, bo łatwiej wtedy można rządzić.

Innym poważnym problemem, ściślej zresztą związanym z powyższymi zagadnieniami, jest to, iż Ukraińcy zamieszkali w Polsce mają bardzo szczupłą liczebnie inteligencję: większość osób wykształconych wyginęła bowiem podczas wojny bądź wyemigrowała - niewiele jej zostało po 1947 roku. Nowa inteligencja ukraińska zaczęła wyłaniać się dopiero u schyłku lat siedemdziesiątych, lub nawet na początku lat osiemdziesiątych. Ci młodzi ludzie w większości wypadków kwestionowali stereotypy i nawyki myślowe wyniesione z domu rodzinnego. Nadto usłowali oni, choćby tylko w niewielkim stopniu, wyjść z ukraińskiego getta, które jest bardzo silne. To getto niestety wciąż istnieje, co także stanowi istotną przeszkodę w dialogu, tym niemniej sami Ukraińcy nie bardzo kwapią się, by z niego wychodzić. Dlaczego? Bo kiedy wyjdą, zostaną narażeni - jak mi tłumaczono - na szybką polonizację... Zaś pozostając w obrębie tego getta, zdołają zachować swoją ukraińską odrębność i tożsamość narodową.

Należy również podkreślić, iż większość zamieszkałych w Polsce Ukraińców nie czytuje prasy podziemnej, na co wskazał autor artykułu "My i Wy", który zamieściło także "ABC". Młodzi Ukraińcy często uskarżają się, iż na łamach publikacji drugiego obiegu ukazuje się bardzo niewiele materiałów dotyczących ich rodaków oraz spraw jakimi oni żyją. Jest to oczywiście nieprawda, trzeba tylko mieć dostęp do wielu tytułów, o co nie jest wśród Ukraińców łatwo.

Wprawdzie polska opozycja poddała niegdyś dyskusji problem mniejszości ukraińskiej w Polsce, nie próbowano jednak wciągnąć do niej polskich Ukraińców, nie ułatwiono im również dostępu do publikacji podziemnych. Dialog dotyczący tej grupy ludzi toczy się dziś głównie między polską opozycją i emigracją ukraińską, poświęcone mu było na przykład ubiegłoroczne spotkanie w Paryżu, w którym wzięli udział przedstawiciele waszej opozycji i naszego wychodźstwa, nie było jednak na nim nikogo z mniejszości ukraińskiej w Polsce. Polska opozycja, zresztą nie tylko ona, albowiem dotyczy to Polaków w ogóle, powinna zrozumieć kłopoty, z którymi musi borykać się mniejszość ukraińska w Polsce, powinna udzielać jej stosownego poparcia, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi stosunek Kościoła do tej mniejszości. Polakom może to nie pójść łatwo, są oni przecież bardzo religijni, zaś Ukraińcy często twierdzą, iż to właśnie zagadnienia wiary stanowią największy problem w Polsce, że wszystko, by tak rzec, obraca się w tym kraju wokół spraw Kościoła. Weźmy choćby osobę biskupa Tokarczuka. Polacy uwielbiają go, bo jest antykomunistą, jednocześnie jednak ma on poglądy antyukraińskie, co powoduje, iż nie cieszy się nadmierną

popularnością wśród Ukraińców. To jednak, jak przypuszczam, zmieni się na lepsze po polsko-ukraińskich deklaracjach religijnych, ogłoszonych w Rzymie w październiku 1988 roku. Polska opozycja ma tutaj do odegrania ogromną rolę. Jeśli jej się uda i jeśli zdoła ona wciągnąć Ukraińców do dialogu, zwłaszcza młodą inteligencję ukraińską, obie strony odniosłyby ogromne korzyści. Rzecz w tym, iż Ukraińcy w Polsce przypominają bardziej, jak powiedział ów Ukraińiec dziennikarzowi "ABC", emigrację ukraińską na Zachodzie, aniżeli rodaków mieszkających na Ukrainie. Bardzo łatwo mogliby oni jednak stać się dla Polaków "łącznikiem" porozumienia polsko-ukraińskiego.

Jeśli chodzi o polską mniejszość na Ukrainie, to oczywiście żaden Ukraińiec nie pragnie uszczuplenia jej praw. Gdy w 1918 roku Centralna Rada Ukraińska ogłosiła niepodległość naszego państwa, uchwaliła jednocześnie jedną z najbardziej postępowych w Europie Wschodniej kart praw mniejszości narodowych - nie tylko dla Polaków i innych narodowości, ale również dla Żydów. Było to naprawdę ogromne osiągnięcie. Istnieją więc tradycje gwarantowania praw mniejszościom, w tym mniejszości polskiej. Wydaje mi się, że akurat mniejszość ta nie jest zbyt duża w stosunku do naszej całej populacji (dużo więcej Polaków mieszka na Litwie). Ponadto skupiona jest ona raczej na ziemiach Ukrainy Środkowej, nie zaś - jak można by przypuszczać - na Ukrainie Zachodniej.

Na Ukrainie panują jednak zupełnie odmienne warunki aniżeli w Polsce, inna jest tam sytuacja wewnętrzna. W Polsce społeczeństwo jest daleko bardziej autonomiczne niż u nas, co przejawia się nie tylko w działaniach opozycji, ale także Kościoła. Polscy intelektualści utrzymują ożywione kontakty z intelektualistami za granicą. Na społeczeństwo polskie działa daleko więcej rozmaitych czynników aniżeli na społeczeństwo ukraińskie. U nas trudno byłoby o tak silne oddziaływanie opozycji na społeczeństwo jak u was. Jeśli nasza opozycja zajmowała się prawami mniejszości narodowych na Ukrainie, jakoś nigdy nie udało mi się przeczytać o tym w ukraińskiej prasie opozycyjnej. Nie mam pojęcia, dlaczego, być może dlatego, że jest dużo więcej palących tematów, o których pisują obecnie nie tylko pisma opozycyjne, ale także oficjalne; chodzi tu na przykład o przetrwanie narodu ukraińskiego jako takiego. Gdy ktoś niepokoi się o los własnego narodu, trudniej - co jest naturalne - przychodzi mu zajmowanie się problemami innych narodowości - na przykład Polaków.

Polacy być może nie dostrzegają rozpaczliwej niekiedy sytuacji Ukraińców. Ostatnio jeden z naszych wybitnych pisarzy stwierdził, nie bez

racji, iż jeśli na Ukrainie zostanie utrzymany sowiecki system edukacyjny, to wtedy język ukraiński przetrwa jedynie... w Kanadzie. Dodajmy do tego dziesiątki innych problemów - choćby "białe plamy" w historii Ukrainy, choćby sprawę głodu w latach trzydziestych, choćby dzieje Ukraińców wtrąconych do łagrów, represje, prześladowania - i tak dalej; sam widzisz, że w tej sytuacji znika z pola widzenia wiele, skądinąd również ważnych spraw. Na dobitkę, Ukraińcy nie mają, w przeciwieństwie do Polaków, tak wielu tytułów prasy podziemnej, no i daleko mniej Ukraińców aniżeli Polaków zaangażowanych jest w działalność opozycyjną - co sprzyja bardziej otwartej i szerszej dyskusji. Ukraińcy zamieszkali w swojej ojczyźnie także, jak sądzę, nie twierdziliby, iż zajmowanie się sprawami mniejszości narodowych powinno być dla Polaków rzeczą najważniejszą, wręcz priorytetową; najważniejsze dla Ukraińców jest to, czy Polacy są nastawieni do grupy ich pobratymców szowinistycznie, czy też nie.

Oczywiście, w każdym dialogu między Ukraińcami mieszkającymi na Ukrainie, bądź na emigracji, a Polakami muszą wyjść na światło dzienne cierpienia i prześladowania, jakich doznała mniejszość ukraińska w Polsce. Z drugiej jednak strony, mniejszość ta powinna nauczyć się odróżniać wrogów od przyjaciół i nie przypisywać złego wszystkim bez wyjątku Polakom, całemu narodowi polskiemu. Przecież nie każdy Polak to pan Edward Prus, autor antyukraińskich książek.

ABC: Zdaję sobie sprawę z tego, iż polska opozycja działa w zupełnie innych warunkach aniżeli ukraińskie grupy opozycyjne, będące w dużo gorszej sytuacji. Tym niemniej moje pytanie implikowało pewne stwierdzenia natury ogólnej; nie chodziło wszak o to, żeby "po równo" działać na rzecz mniejszości ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie, bo znajdują się one w odmiennej sytuacji. Ale skoro problemy ukraińskiej mniejszości cieszą się znacznym zrozumieniem w polskich środowiskach opozycyjnych, chcę zapytać, czy można liczyć na analogiczne zrozumienie i pomoc w sprawie Polaków na Ukrainie - i polskich pamiętek narodowych znajdujących się na jej terenach - ze strony emigracji ukraińskiej?

T.K.: Na Zachodzie działają dwie lub trzy silne stacje radiowe nadające programy na Ukrainę (ich audycje można odbierać także w Polsce); oczywiście, w ich programach są omawiane i szeroko cytowane prace opozycjonistów polskich, porusza się tematy związane z dialogiem polsko-ukraińskim. Jest jednak kilka problemów, a główny polega, jak sądzę,

na braku przepływu informacji pomiędzy sekcjami narodowymi. Narzekał zresztą na to p. Iranek-Osmecki, jednocześnie zapowiadając swoje odejście z RWE - gdy sekcja polska tej rozgłośni nie nadała niemal żadnego rozgłosu wspólnemu oświadczeniu kardynałów Glempa i Lubaczewskiego. Tak więc jest to wielki problem, można go zresztą odwrócić i stwierdzić, iż dla radiostacji ukraińskojęzycznych oraz ukraińskiej prasy emigracyjnej bardzo ważne jest podawanie właściwych informacji na temat polskiej opozycji. A przecież w ostatnich kilku latach doszło, niestety, kilkakrotnie do sytuacji, iż polskie publikacje drugiego obiegu dotyczące zagadnienia mniejszości ukraińskiej w Polsce, czy też innych mniejszości narodowych, otrzymują z Wielkiej Brytanii, gdyż RWE nie wysyła ich do sekcji ukraińskiej radia "Liberty", a przecież instytucje te znajdują się w tym samym budynku! Nie wymieniają one między sobą niemal żadnych informacji. Może w grę wchodzi tu osobista polityka osób prowadzących te sekcje radiowe, nie wiem... Tak czy inaczej, nie widać zainteresowania nawet zbieraniem pochodzących z Polski informacji na ten temat i przekazywania ich Rosjanom, Ukraińcom, czy też Litwinom, pracującym po sąsiedzku, czy to w REW, czy radia "Liberty" - w celu ich rozpowszechnienia. Mieszkańcy Ukrainy posiadają niewiele wiadomości o zdarzeniach w Polsce, nie dociera do nich zbyt wiele polskiej literatury, jednym z głównych zadań polskiej opozycji powinno być więc, jak sądzę, wysyłanie tej literatury sąsiadom południowo-wschodnim. Nie chodzi tutaj tylko o książki, ważne jest każde czasopismo, każdy biuletyn (oczywiście także "ABC"). Ludzie ci będą mogli dowiedzieć się o wydarzeniach w Polsce, na świecie, o nowych prądach intelektualnych rodzących się na Zachodzie, o tym, jak można się organizować, nawet o sprawach związkowych.

Jeśli chodzi o ukraińskie publikacje emigracyjne, widać w nich to samo zjawisko, o którym już wspominałem, to znaczy brak świeżej krwi, są one bowiem produktem wychodźczego "establishmentu" z lat pięćdziesiątych. Nowych tytułów ukazuje się bardzo niewiele, w tym jedynie garść pozycji z zakresu literatury pięknej. Jest to bardzo smutne zjawisko, smutne i niekorzystne. Te wydawnictwa wyrażają na ogół poglądy tych samych starszych grup politycznych. Polskie i rosyjskie publikacje przewyższają nasze ilościowo. Na dobitkę, ukraińskie periodyki jedynie w niewielkim stopniu zajmują się sprawami polskimi, a to z rozmaitych przyczyn. Po pierwsze, ponieważ ich tematyka, o czym już wspominałem, dotyczy raczej przeszłości, aniżeli teraźniejszości (mam tu na myśli zwłaszcza prasę wydawaną przez banderowców). Po wtóre, w grę wchodzi także niedostatek informacji z Polski. Częściowo powodem są w tym wypadku nikłe kontakty z Waszym krajem -

przeszkodą jest nie tylko "żelazna kurtyna", ale i fakt, iż polskie grupy opozycyjne nigdy nie zaprzatają sobie głowy wysyłaniem nam takich informacji. Ich dopływ powinien wzrosnąć, jest to bardzo ważne. Są tu oczywiście pozytywne wyjątki, choćby kontakty utrzymywane przez "Suczasnist".

W ostatnim numerze pisma "General Ukrainian Studies", ukazującego się w Kanadzie - jest to moim zdaniem najlepszy anglojęzyczny ukraiński periodyk akademicki wydawany na Zachodzie, poświęcony zagadnieniom współczesnej Ukrainy - ukazał się mój artykuł dotyczący polskiej opozycji i Ukrainy - począwszy od wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Dotychczas nikt nigdy o tym nie pisał, sprawy te pozostają nieznane, po prostu dlatego, że brakuje informacji.

Mówiłem już wcześniej, że wielu młodych Ukraińców nie utrzymuje żadnych kontaktów z prasą opozycyjną, ponieważ często ludzie ci nie mówią po ukraińsku, tylko po angielsku - jest to również czynnik wpływający na niedoinformowanie emigracji ukraińskiej o sprawach dziejących się w Polsce i na Ukrainie. Młodzież ukraińska najczęściej nawet nie czyta publikacji w języku ukraińskim, choć niekiedy zna ten język biernie, nie wspominając już o tym, że nie bierze ona udziału w pracach wydawniczo-redakcyjnych. A zatem w pewnym stopniu to właśnie anglojęzyczna prasa ukraińska ukazująca się na Zachodzie odgrywa rolę opiniotwórczą.

ABC: *Zadając to pytanie, miałem oczywiście na myśli środowiska, które są zaangażowane w dialog. Rozumiejąc Twoją wypowiedź dotyczącą ograniczonych możliwości podjęcia sprawy mniejszości polskiej na Ukrainie jako swego rodzaju zaproszenie do współpracy, poczuwam się do obowiązku dostarczania materiałów. Spróbujemy to zrobić. Pozostaje jeszcze kwestia możliwości, którą ma każde pismo - kształtowania u swoich czytelników postaw tolerancji wobec mniejszości narodowych i wyczulenia ich na ten problem. Bardzo bym do tego zachęcał. Tymczasem dziękuję Ci za rozmowę!*

Rozmawiał Bogdan Gorski

"MY I WY" - DALSZE REFLEKSJE UKRAIŃCA

"Pogrążone w rozpacz z powodu tego, co było i minęło, z desperacją oczekujące tego, co ma nadejść, dwa lwy - ukraiński i polski - tocząc walkę, rozdrapują sobie nawzajem pazurami pierś, sięgając aż do serca. Ich ślepią jednak, choć nablegie krwią i wściekłością, dostrzegają radość, jaką walka ta sprawia ich wspólnym wrogom. W ów ohydny pojedynek lwy wkładają jednak ostatki sił i możliwości."

Pantelejmon Kulisz, 1882.

Artykuł "Wy i My", jaki ukazał się w "Kosie" (2/1987), oraz listy czytelników w tej sprawie do redakcji, które następnie przedrukowano w "Contrze" (2/1987) oraz w periodyku "Przedświt" (14/1987), wywołały w kołach opozycyjnych szeroką dyskusję na temat stosunków ukraińsko-polskich. Zapis pierwszej takiej dyskusji ukazał się w przekładzie również na łamach pisma "East European Reporter" (t. 2, nr 4/1987). Choć redakcja "Przedświtu" utrzymuje, iż nawet biorąc pod uwagę obecne kontakty między ukraińską emigracją i polską opozycją, które przyczyniły się do poprawy wzajemnych stosunków - "droga ku porozumieniu wciąż jest długa"¹. Moim wszakże zdaniem, powyższe twierdzenie jest nieprawdziwe, i choć niektórzy Polacy mogą nie zgadzać się z poglądami, które przedstawiam poniżej, chciałbym, by przeczytali moje refleksje, zwracając szczególną uwagę na końcowe wnioski, oraz na to, iż wierzę w potrzebę dialogu i współpracy między Polakami i Ukraińcami. Najpierw jednak po obu stronach potrzeba szczerości.

Nim przejdę do omówienia tekstu Marka Janickiego opublikowanego na łamach "ABC" (5/1987), chcę sięgnąć do źródła - czyli artykułu podpisanego przez sześciu Ukraińców zamieszkałych w Polsce, z pewnymi тезami

^{1/} Wszystkie cytaty w tekście, które pochodzą z krajowej prasy opozycyjnej zostały przetłumaczone z angielskiej wersji podanej przez autora. (przypis tłumacza).

tam przedstawionymi zgadzam się, z innymi - nie. Autorzy przedstawiają szkicowo historię stosunków polsko-ukraińskich, począwszy od XVI wieku, posługując się obrazem schematycznym, stwarzanym przez samych Ukraińców. Odpowiedź na pytanie: "czy wszystko to odpowiada prawdzie?" (bez względu na to, czym jest owa "prawda") jest subiektywna, albowiem mamy tu do czynienia z interpretacją historii. Autorzy "skaczą" po stuleciach, po to, by zająć się w końcu najbardziej ponurym okresem współczesnym - czyli latami 1921-1947. Nie powinniśmy jednak wyciągać pośpiesznych i pochopnych konkluzji, stereotypy powstawały przez całe wieki po obu stronach, a niektóre pokutują się do dziś.

Rzut oka na historiografię polską i wizję Ukraińców, jaką ona przedstawia, pozwala stwierdzić, iż już średniowieczni kronikarze polscy uważali, że Polska, na mocy mandatu otrzymanego z Rzymu, ma prawo uważać się za wschodni bastion chrześcijaństwa. W tej sytuacji mieszkańcy Kijowa nie różnili się zbytnio od "barbarzyńców", a stawianie znaku równości między Polakami, Litwinami i Ruteńczykami (pochodzące sprzed XIX wieku zlatynizowane określenie Ukraińców, oznaczające "naród Rusi") było już wtedy uważane za "akt zdradziecki". Ow stosunek do Ukraińców przetrwał przez wieki - przynajmniej do XIX stulecia. Począwszy od XIV wieku, kiedy to ziemie ukraińskie stały się częścią imperium polskiego, "Ukraińcy" stali się "chłopami", zaś "Polacy" - "panami".

Jednak kronikarze ukraińscy nie zaakceptowali polskiego punktu widzenia, zgodnie z którym Ukraina została podbita przez Polaków. Uważali oni, iż dobrowolnie połączyła się ona z Polską poprzez traktaty międzypaństwowe. W średniowieczu stanowiło to ważne rozróżnienie: oto bowiem teoria podboju zakładała sprawowanie władzy absolutnej na zajętych terenach, których mieszkańcy mogli zostać pozbawieni wszelkich praw. Tymczasem zgodnie z ukraińską teorią "dobrowolności", Ruś (Ruthenia) nigdy nie utraciła suwerenności: ów fakt usprawiedliwił bunt Kozaków w roku 1648, kiedy to Polacy wycofali się ze swoich zobowiązań traktatowych. Jagiellońska koncepcja równoprawnych partnerów pozostających w federacji jest przeto nieobecna w historiografii ukraińskiej (bądź białoruskiej, czy też litewskiej). Nic więc dziwnego, iż jedyne apele o federację pochodzą od Polaków (oraz Rosjan) - nie zaś od Ukraińców. Zdaniem pisma "Niepodległość" (47/48/1986), Ukraińcy uważają wspólnotę federacyjną za "wielkie nieszczęście narodowe", wiążące się z wyniszczeniem elit, polonizacją i katolizacją.

Sugestii, podobnych tej, jaką czyni Marek Janicki, jakoby Ukraińcy nie byli potomkami Kozaków, nie można traktować poważnie (p. Janickiego odsyłam

do książki Leszka Podhorodeckiego "Zarys dziejów Ukrainy", Warszawa, 1976, s. 270, 272 oraz 277-278). Identyfikowali się oni z terytorium Rusi (czyli z ziemiami, których trzon etniczny, począwszy od IX wieku, określał trójkąt miast: Kijów-Czernihów-Połtawa, i którego obszar z biegiem czasu rozszerzał się). Uważali się za naród inny niż muzułmańscy Tatarzy, rzymskokatolicki Polacy, a nawet prawosławni "Moskale" z północy. Po dziś dzień starsi Ukraińcy używają raczej słowa "Moskal", aniżeli "Rosjanin". Warto zauważyć, iż "Rusin" jest starym określeniem Ukraińca, słowo to weszło do szerszego użycia dopiero w XIX wieku.

W polskiej XIX-wiecznej historiografii katolicyzm uważano za ideologię wyrażającą istotę polskiej narodowości, daną Polakom przez Boga, z tego też powodu powstał mesjanizm (Rosjanie także mieli swój mesjanizm - "Moskwa - trzeci Rzym", pansławizm i prawosławie). Polska misja polegała na "cywilizowaniu" sąsiadów, których Polacy uważali za stojących na niższym poziomie - Ukraińców i im podobnych. Taki obraz Ukraińców, ludzi w jakimś sposób "niższych", do dziś rodzi wiele kłopotów. Następstwem tej polskiej misji cywilizacyjnej było m.in. to, iż historycy polscy pisali pogardliwie o Kozakach (przykład: Henryk Sienkiewicz), których trzeba było polonizować, co uważano za "cywilizowanie". Kozaków przedstawiało się więc jako "bandytów", "piratów", zaś Polacy odmawiali, po roku 1648, uznania powstania oraz prawa do istnienia odrębnego narodu ukraińskiego. Twierdzono, iż dla Ukraińców lepsze są rządy Polski, a w każdym razie korzystniejsze niż rządy rosyjskie. Dla ówczesnych polskich autorów pomysł, iż mogłoby ukonstytuować się niezależne państwo ukraińskie, był zaiste śmieszny (czyż bowiem chłopie mogli zakładać państwa?), a więc wszystko, co było z nim związane, przypisywano "obcym interesom". (Rosjanie, a następnie Sowieci, mieli ten sam problem: nacjonalizm ukraiński był dla nich produktem intryg niemieckich, polskich, czy też knowań inteligencji zachodniej!)

Podczas gdy polonizacja Ukraińców była uważana za "postępową" (w podobny sposób historiografia rosyjska i sowiecka nazywa rusyfikację oraz podbój terytoriów nierosyjskich) germanizacja Polaków - nie. Większość argumentów na rzecz tej tezy, wysuwanych w XIX wieku przez polskich autorów w odniesieniu do Ukrainy, nie mogła oczywiście oprzeć się krytyce, nadto była zwykłym fałszem, powstałym pod wpływem idei romantyzmu. Powstanie ukraińskiego ruchu narodowego sprowadziło tych autorów (także historyków rosyjskich) na pozycję obronną, utrzymywali oni potem, iż rządy Polaków były bardziej postępowe aniżeli rządy rosyjskie.

W XIX wieku żadna potęga europejska nie zaprzeczyła, że naród polski

Istnieje. Jednak zarówno Rosja carska (która w latach 1876-1906 zakazała używania języka ukraińskiego), jak i autorzy polscy, zaprzeczali istnieniu odrębnego narodu ukraińskiego. W książce *"Między reakcją a kontrrewolucją. Studia z dziejów ukraińskiego ruchu w Galicji w latach 1848-1849"* (Kraków, 1976) J. Kozik przyznaje, iż wśród Polaków uważano, że Rusini są częścią narodu polskiego, a ich język jest *"polskim dialektem"*. Do 1939 roku takie poglądy wyznawała w Polsce endecja. Mimo ogromnych zmian na lepsze w tym względzie wewnątrz polskiej opozycji, w październiku 1984 roku podziemne pismo *"Robotnik"* opublikowało artykuł podpisany Rif; znajdowało się tam twierdzenie, iż *"Ukraińcy nigdy nie mieli własnego państwa"*.

Choć w polskiej prasie opozycyjnej pisano, począwszy od roku 1982, o wielu aspektach zagadnienia ukraińskiego, jedynie znikoma część tekstów dotyczyła okresu międzywojennego. Czy można jednak analizować konflikty lat 1939-1947 bez świadomości, iż mają one swoje korzenie właśnie w latach 1918-1939? Jeżeli prześledzimy historię stosunków polsko-ukraińskich, a zwłaszcza to, co pisze o nich oficjalna propaganda, okaże się, iż młodzi Polacy otrzymują nadzwyczaj zniekształcony obraz konfliktu. Bardzo niewiele rozumie dlaczego Ukraińcy stali się tak bardzo antypolscy po 1939 roku. Sześciu Ukraińców poczyniło na ten temat kilka trafnych spostrzeżeń. Mamy tu bowiem do czynienia z niepodległym państwem (po 1945 roku sprawy nie przedstawiały już się tak prosto: Polacy nie mieli całkowitej swobody decydowania o własnym losie - nie można jednak obarczać za to winą wyłącznie komunistów). Należy również pamiętać, iż Polska była *"imperium"*, w którym mniejszości stanowiły 36-40% całego społeczeństwa (w ZSRR liczba ta wynosiła 40-50%). Czy jednak władze polskie postępowały tak, jakby rządziły państwem wielonarodowym, czy postępowały zgodnie z tradycją Jagiellonów, stawiających Polaków na równi z Ukraińcami i innymi narodami? Nie!

Postanie w latach trzydziestych nacjonalizmu ukraińskiego można częściowo tłumaczyć reakcją na wrogość, jaką ukraińskim aspiracjom okazywali zarówno Polacy, jak Rosjanie (oraz temu, iż w Centralnej Radzie, w latach 1917-1920 zabrakło demokratycznych partii, które też nie były zbyt popularne w Polsce międzywojennej). Wreszcie Ukraińcy nie byli jedynym narodem, który w tym okresie zwrócił się w kierunku nacjonalizmu. Podobnie postąpili Polacy, Słowacy, Bałtowie, Węgrzy, Rumuni, Francuzi, Hiszpanie i Portugalczycy. Ilu jednak młodych Polaków potrafi umieścić nacjonalizm ukraiński w tym kontekście? Nacjonalizm ów nie był *"fasyzmem"*, tylko - jak wykazał to A. J. Motyl w swoim pionierskim dziele, zatytułowanym *"Zwrot na prawo. Źródła ideologiczne i rozwój nacjonalizmu ukraińskiego 1919-1929"*

(Columbia University Press, Nowy Jork, 1980), faszyzm był nacjonalizmem państwa narodowego, sposobem zorganizowania państwa. *"...podczas gdy nacjonalizm ukraiński był sposobem na utworzenie państwa. Ukraińcy nie mogli być więc faszystami, nie osiągnęli oni bowiem nawet tego punktu - to znaczy własnego państwa - w którym możliwy jest faszyzm. W ten sposób, by ująć rzecz najkrócej, ostateczny cel nacjonalistów był punktem wyjścia dla faszystów. Innymi słowy, nacjonalizm ukraiński był w swej istocie ruchem wyzwolenia narodowego".* W dodatku, w latach trzydziestych nacjonalizm ukraiński nie kierował całego swojego impetu wyłącznie przeciwko Polakom. W artykule, jaki ukazał się w piśmie *"East European Quarterly"* (1/1987) A. J. Motyl pisze, iż wśród ogólnej liczby ofiar OUN w międzywojennej Polsce przeważają Ukraińcy.

Cóż więc mógł uczynić ukraiński patriota (*"patriota"* - z ukraińskiego punktu widzenia ktoś, kto pragnął niepodległości dla ziem, które uważał za etnicznie ukraińskie)? Do kogo mógł zwrócić się o poparcie jego sprawy? Nie mógł zwrócić się do ZSRR (państwo to dopiero co uśmierciło 7 milionów Ukraińców, celowo wywołując klęskę głodową) nie mógł zwrócić się też do Polski czy Węgier (które były sojusznikiem Polski, a potem Niemiec), wykluczona była także Francja (sojusznik Polski). Anglicy nie przejawiali zainteresowania. Jedynie Niemcom zależało na zmianie rzeczywistości politycznej - efektu Traktatu Wersalskiego. Można dyskutować, czy wiązanie się z Niemcami, tak jak to uczynił OUN na kilka lat, było rozsądnym posunięciem. Z drugiej jednak strony zechciej, drogi polski Czytelniku, postawić się na miejscu Ukraińców. Co ty sam uczyniłbyś jako patriota?

Sześciu Ukraińców ma rację, przedstawiając negatywny obraz Armii Krajowej w oczach ich pobratymców. Ukraińcy nie widzieli dla siebie żadnego miejsca w tej organizacji, dotyczyło to również programu Rządu Londyńskiego (który po dziś dzień opowiada się za powrotem do granic sprzed roku 1939). W dodatku jest prawdą, że pokoleniom Ukraińców wpajano pogląd, iż Traktat Ryski był *"ciosem w plecy"* zadany im przez Polaków - *"ludzi, którym nie można ufać"*, którzy raz jeszcze *"podzielili Ukrainę między siebie i Rosjan"*. Pytanie Marka Janickiego: *"Co mieli robić Polacy, oddać Wołyń i Galicję Sowiecom?"*, nie jest poważnym argumentem historycznym. Dlaczego polskie władze nie przyznały autonomii tamym terenom, dlaczego prowadziły na nich świadomą politykę polonizacji i osadnictwa?

W latach dwudziestych Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy była szczególnie silna na Wołyniu, albowiem wielu Ukraińców przychylnie spoglądało na radziecką Ukrainę, gdzie w okresie NEP-u nastąpiło odrodzenie narodowe. Dopiero po pacyfikacji w roku 1930 i głodzie w roku 1933

nacjonalizm ukraiński stracił grunt: KPZU miała niewiele do zaoferowania. Polska nie była w tamtych latach państwem modelowym jeśli chodzi o tolerancję dla mniejszości narodowych, a ZSRR znajdował się w przededniu stalinowskich czystek.

Sześciu Ukraińców wskazuje na to, iż obie strony popełniały okrucieństwa, oraz na to, że Polacy patrzą na Ukraińców oraz UPA przez pryzmat propagandy komunistycznej (Gerhard, Prus itd.). Moim zdaniem należy przyznać, iż winę ponoszą obie strony i że nie możemy - i nie powinniśmy - obwiniać jednej bardziej niż drugiej. W analizie treści polskich publikacji podziemnych z lat 1944-1947, która ukazała się na łamach "Krytyki" (23/87), polski autor pisze, iż "prawdziwi Polacy" przypuszczalnie "nie popełnili błędów". Nie mieli wrogów ideologicznych, jedynie narodowych i religijnych: "Sowietów, Rosjan, komunistów, Żydów, masonów, Ukraińców i Niemców". Czyż powiedzenie: "my Polaki, złote ptaki" nie ma swoich źródeł w takich odczuciach? Obie strony - Ukraińcy i Polacy - wierzą, iż właśnie oni cierpieli i byli ofiarami tego okresu, rozumiejąc przez to, że nie popełnili "żadnego zła". Jest to oczywiście śmieszne; gdy jednak Jerzy Tomaszewski zasugerował to na łamach "Nurtu" (kwiecień 1984), zaatakowali go złośliwie, określając mianem "zdrajca", ci, którzy nazywają siebie "polskimi patriotami" oraz "byłymi członkami AK".

Polacy, których pozycja jest silna zarówno jeśli chodzi o emigrację, jak i kraj, powinni nadawać ton. Cieszą się oni większą wolnością - oficjalnie i nieoficjalnie - niż Ukraińcy, ponadto wyrosło u nich nowe pokolenie działaczy politycznych, którym łatwiej niż starszej generacji przychodzi krytycyzm w stosunku do przeszłości. Emigracja ukraińska niewiele się zmieniła od wczesnych lat pięćdziesiątych, a większość tamtejszych grup politycznych kontynuuje tradycję OUN. Jeszcze mniej można wliczyć od nich oczekiwać, chyba że ich "młodzi" zaczną wywierać silniejszy wpływ. Nawiasem mówiąc, Ukraińcy powinni zgodzić się z tym, co napisał Jan Pawłowski w "Kosie", oraz z autorem listu do redakcji "Kultury" (1/2/87), którzy wskazali, iż te same wojskowe jednostki komunistyczne, które mordowały ukraińską ludność cywilną i członków UPA, zabijały także Polaków, w tym również akowców. Zeszłoroczne odkrycie masowych grobów niedaleko Suwałk jest świadectwem ich czynów.

Jednocześnie jednak Polacy nie powinni pozwalać sobie na pełnienie roli pionków w walce ukraińsko-polskiej inspirowanej przez komunistów (Kiszcak, Prus itp.). Różnie, gdy obecnie jedynie UPA określana jest mianem "bandyci", aż do końca lat pięćdziesiątych epitetem tym obdarzano także AK. Niestety, nie tylko komunistyczni autorzy powtarzają te frazesy warty np.

zajrzeć do książki Andrzeja Alberta: *"Najnowsza historia Polski, część III, 1945-1956"*, Krąg, Warszawa 1987. Ponadto sądzę, że następujące książki wydane w polskich oficynach podziemnych równie dobrze mogłyby zostać wydane oficjalnie: Jan Kresowiak *"Lwów zawsze wierny"*, Biblioteka Promienistych, Kraków 1985; Stanisław Ostrowski *"W obronie polskości Ziemi Lwowskiej"*, Pokolenie, Warszawa 1986, oraz B. Tomaszewski i T. Węgierski *"Lwowska AK"*, Oficyna Wydawnicza Pokolenie, Warszawa 1987 (1 wydanie tej książki ukazało się w roku 1983 w Przedświcie).

Wszystkie te stereotypy, stworzone przez polskich i sowieckich komunistów, trafiły na podatny grunt. Jest to najprawdopodobniej jedyna część oficjalnej propagandy, która odniosła *"sukces"*. Podobne prace o rewanżystowskim charakterze nie ukazują się po stronie ukraińskiej, nie więc dziwnego, że niektórzy Ukraińcy wciąż wyrażają podejrzliwość w stosunku do Polaków. Choć na przykład stanowisko opozycji wobec *"zagadnienia ukraińskiego"* stanowi postępowanie na drodze zbliżenia polsko-ukraińskiego, nie spotkało się ono z aprobatą rządu polskiego na wychodźstwie. W *"Arce"* (17/87) prezydent Sabbat określił deklarację w sprawie granic Polski jako *"bardzo nierozsądną"*, czynioną jakoby przez *"amatorów w dziedzinie polityki zagranicznej"*. Jego zdaniem, uznanie obecnych granic oznacza zgodę na *"utrata ogromnych polskich terytoriów"*. Prezydent Sabbat dodał: *"Dajemy Ukrainie tak wspaniałe prezenty, a co oni dają nam?"* Odpowiedziała na to ukazująca się w Paryżu liberalna gazeta ukraińska *"Ukraińskie Słowo"* (z 5 kwietnia 1987): *"Ukraińcy mogą współpracować z polską opozycją, jednak nie z rządem emigracyjnym. Z kolei Ukraińcy nie powinni wyrażać podejrzliwości względem polskich Intencji za każdym razem, kiedy Polacy twierdzą, iż część ich historii i kultury związana jest z <<Kresami wschodnimi>>, powinni jednak oczekiwać od Polaków wyrzeczenia się imperializmu. Jakakolwiek współpraca możliwa jest tylko na takich zasadach"*.

Gdy były oficer AK, Stefan Zasadny, napisał w *"Kosie"*, w odpowiedzi sześciu Ukraińcom, że: *"byłoby dobrze nie zapominać o setkach polskich Sahryniów, dokonanych przez UPA od północnych terytoriów wschodniej Polski po Karpaty"*, poczułem się tak jak podczas lektury artykułu *"Wy i My"*. Uczciwość wymaga, by przyznać, iż okrucieństw dopuściły się obie strony, zaś liczenie trupów swoich i wroga byłoby bezcelowe. Solidaryzuję się z polskim autorem, który stracił kilkoro krewnych z rąk Ukraińców i który - w numerze *"Kosa"* zawierającym *"Was i Nas"* - tak napisał o pewnym moralnym problemie swoich rodaków: *"Wiemy dużo o zbrodniach popełnionych przez Ukraińców... Nie wiemy nic, a co gorsza nie chcemy wiedzieć, o czynach"*

kryminalnych popełnionych przez Polaków przeciw Ukraińcom. Niewiedza ta daje Polakom czyste sumienie".

Bez względu na to, co sądzimy dziś o UPA/OUN, musimy spróbować wyobrazić sobie położenie Ukraińców podczas II wojny światowej. Jak postapilibyście na ich miejscu, Czytelnicy, gdybyście byli patriotami ukraińskimi, pragnącymi niezależnej Ukrainy? Czy mieli oni jakikolwiek wybór poza wstąpieniem do tych ugrupowań? Stając po stronie Sowietów lub Polaków (AK bądź AL) nie mieliby wolnej Ukrainy. Podczas wojny OUN/UPA walczyły pod wspólną flagą przeciw imperializmowi niemieckiemu i sowieckiemu, jednak AK uznawała za wroga jedynie Niemcy i współpracowała z Sowietami, zwłaszcza na Wołyniu. Nic więc dziwnego, że AK uznawano za organizację wrogą Idei niepodległej Ukrainy, tym bardziej, iż reprezentowała ona Rząd Londyński, który pragnął powrotu do granic sprzed 1939 roku. Ilu Polaków wie, że UPA i OUN walczyły przeciw Niemcom – począwszy od roku 1942? Ilu nie przeknęło sowieckiego kłamstwa i nie uwierzyło, że OUN/UPA były formacjami "kolaborującymi z faszystami"? Biorąc pod uwagę sowiecką inwazję na Polskę we wrześniu 1939 roku, stosunek AK do Ukraińców był zaskakujący. Czyż nie mogła ona wyrzec się roszczeń terytorialnych do "kresów wschodnich" i walczyć ramię w ramię z UPA w podwójnej wojnie – przeciw Niemcom, a potem przeciw Sowietom? Bez względu na to co Polacy sądzą o UPA, przynajmniej walczyła ona z komunistami aż do wczesnych lat pięćdziesiątych. Gdzie natomiast był polski antykomunistyczny ruch oporu po okresie 1946-47?

W roku 1943, w oficjalnym organie OUN, piśmie "Idea i Czyn", I. W. Borowycz napisał w artykule "Ukraina i Polska", iż: "Obiektywne warunki skłaniają Ukraińców do utrzymywania przyjaźielskich stosunków z Polakami z powodu naszego wspólnego wroga – Moskwy". Ponadto napisał on również: "Jesteśmy świadomi tego, iż w obliczu niebezpieczeństwa jakie grozi wszystkim ujarzmionym narodom Wschodu ze strony imperializmu niemieckiego i rosyjskiego, utworzenie przez te narody wspólnego frontu przeciw imperializmowi oraz zaprzestanie walk między sobą jest jedyną właściwą odpowiedzią, jaką możemy dać wojującemu imperializmowi. Powyższe słowa odnoszą się również do wzajemnych stosunków dwóch narodów: ukraińskiego, i polskiego. Z tego powodu jesteśmy przeciwni wszelkim starciom na tym froncie w obecnej chwili, popieramy natomiast poszukiwanie pokojowych sposobów rozwiązywania problemów istniejących między tymi dwoma narodami. Jeżeli jednak polskie klasy rządzące sprowokują nas do walki, to toczyć ją będzie bezwzględnie cały naród ukraiński – przeciw ich imperialistycznym planom".

Borowycz kontynuuje w bardziej już pesymistycznym tonie: "Psychologia

polskich klas rządzących, ich sposób myślenia, ich niezmienny szowinistyczny stosunek do sąsiadów, oraz ich imperialistyczne marzenia, są poważną przeszkodą na drodze ku wzajemnemu zrozumieniu... polskie klasy rządzące nie chcą wyrzec się swoich planów podporządkowania sobie innych narodów: Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. Z tego właśnie powodu, mimo iż pragniemy znaleźć pokojowe rozwiązanie tego problemu, organizujemy siły obronne, gdyż jedynie istnienie takich sił może przekonać polskich imperialistów o bezcelowości ich zamierzeń, jak też o konieczności osiągnięcia porozumienia z narodem ukraińskim, który nie chce niczego od narodu polskiego i nie pragnie polskich ziem, ale który dysponuje wystarczającą siłą, by bronić, zawsze i wszędzie, prawa do posiadania własnego państwa².

Jeśli Marek Janicki naprawdę wierzy, że UPA zamierzała wymordować wszystkich Polaków (co jest przecież niemożliwe), oznacza to, że wpadł w sidła propagandy komunistycznej. On sam bowiem (podobnie jak niektórzy Ukraińcy) nie potrafi pogodzić się z tym, że jego rodacy nie są bez winy. A przecież każdy fakt masakry Polaków przez Ukraińców, na jaki mogą powoływać się Polacy, ma swój odpowiednik w postaci martwych Ukraińców, którzy zginęli z polskich rąk. Jeśli chodzi o to zagadnienie, warto przeczytać artykuł O.S. Sadowyja: "W jakim kierunku zmierzają Polacy", opublikowany na łamach periodyku "Idea i Czyn" w roku 1944, przedrukowany następnie przez "Litopisy UPA" (t. 2). Autor pisze m. in. o "polskich osadnikach na Wołyniu udzielających pomocy partyzantom sowieckim", na str. 52-54 znajdują się listy nazwisk Ukraińców zamordowanych na Chełmszczyźnie i w rejonie Hrubieszowa. Jak podaje Sadowyj: "Z każdego zakątka kraju dochodzą nas informacje o Ukraińcach, którzy polegli w walce, zostali obrabowani z mienia lub zamordowani. Terror polskich szowinistów wymierzony w naród ukraiński - na jego ziemiach - rośnie z każdym dniem". Wprawdzie Marek Janicki twierdzi, iż Polacy nie mieli hasła-odpowiednika ukraińskiego: "Lachy za San", przeczytajcie jednak Sadowyja, a przekonacie się, iż AK nawoływała Ukraińców do opuszczania pewnych terenów. Choć w prasie opozycyjnej poddano dyskusji lata czterdzieste, gdzie można przeczytać dyskusję o współpracy AK z partyzantami sowieckimi? OUN była wtedy zdania, że ci, którzy po stronie polskiej prowadzą taką współpracę, działają krótkowzrocznie, a Sadowyj sarkastycznie pisze, iż jest pewien, że: "Stalin

¹ Polisznyj P.J. i Sztendera J. wyd., "Myśl polityczna podziemia ukraińskiego, 1943-1961", The Canadian Institute of Ukrainian Studies, Edmonton, 1986.

znajdzie i dla nich (dla Polaków) miejsce w swoim Gułagu" (i znalazł)!

Chciałbym zakończyć tę część moich rozważań cytując znanego historyka ukraińskiego, Iwana L. Rudnyckiego, który zawsze bardzo popierał współpracę polsko-ukraińską i krytykował szowinistyczny nacjonalizm ukraiński. Pisząc o "brzemieniu historii" autor ów dochodzi do następujących wniosków: "...stroną częściowo odpowiedzialną za niegdyśjsze niepowodzenia w stosunkach polsko-ukraińskich są Polacy. Jest regułą, iż strona silniejsza zawsze określa charakter stosunków łączących społeczeństwa. A więc, rozumując logicznie, strona silniejsza ponosi też większą odpowiedzialność... Na nieszczęście, Polacy wykorzystywali swoją stosunkowo wysoką przewagę nad ukraińskimi sąsiadami, wykazując przy tym niewiele zmysłu państwowego, czy też zdolności przewidywania... Przypisując Polakom główną odpowiedzialność za katastrofalny rozwój stosunków polsko-ukraińskich, nie zamierzam bynajmniej rozgrzeszać Ukraińców. Oni także popełnili wiele błędów, oni także wydawali mylne sądy... Bogiem a prawdą, gdy analizuje się dokumenty dotyczące współistnienia Polaków i Ukraińców, często uderza wielkie podobieństwo zapatrywań i czynów tych dwóch narodów. Ponieważ jednak Polacy zwykle bywali silniejsi, łatwiej przychodziło im czynić szkodę"³.

Czy "Solidarność" została zdominowana przez tendencje rewanżystowskie i skrajnie nacjonalistyczne? Nie. Natomiast prawdą jest, niestety, iż przed wprowadzeniem stanu wojennego, gdy Polakom wydawało się, że potrafią poradzić sobie sami, nie było słyhać niemal nic o sojuszu polsko-ukraińskim, niemal nie wspomniano o sąsiadach Polski. Dominował polski etnocentryzm, choć po 13 grudnia 1981 roku sytuacja uległa zmianie. Nie jest to ważne, czy polski nacjonalizm 1981 roku miał charakter rewanżystowski, czy też nie (należy wątpić, czy takie poglądy wyznawała większość członków "Solidarności") - trzech wschodnich sąsiadów Polski oraz mniejszości narodowe w PRL doszły do przekonania, że miał. Oczywiście dużą rolę odgrywała tu sowiecka propaganda. Z drugiej jednak strony Marek Janicki niesłusznie zbywa pretensje sześciu Ukraińców: przed wprowadzeniem stanu wojennego Ukraińcy doznawali bowiem wrogości ze strony niektórych warstw społecznych, "Solidarności" (np. w Przemysłu) i władz⁴. Mimo to, około 50 Ukraińców aresztowano w czasie obowiązywania stanu wojennego - za

^{3/} Potisznyj P.J. wyd.: "Polska i Ukraina, przeszłość i teraźniejszość", CIUS, Edmonton, 1980.

^{4/} Polecam tu lekturę książki "Ukraińcy wobec <<Solidarności>>", wyd. Głos-Maraton, 1985.

należenie do "Solidarności".

Twierdzenie sześciu Ukraińców, że opozycja osiągnęła niewiele, świadczy o tym, że bardzo mało osób pochodzenia ukraińskiego należy do tej opozycji, nie wspominając już o czytaniu prasy podziemnej, bądź o pisywaniu do niej. Choć Wasyla Stusa drukowano w drugim obiegu, literatura ukraińska nie jest tak szeroko znana jak rosyjska. Polacy powinni zadać sobie jedno pytanie: dlaczego tak niewielu Ukraińców należy do aktywnej opozycji? I drugie: czy można prowadzić jakikolwiek dialog bez ich udziału? Powyższe problemy nadal wymagają rozwiązania, na co wskazał m. in. autor artykułu opublikowanego w kwietniu 1987 roku na łamach "Kosa". Napisał on, iż Polacy tylko do Rosjan odnoszą się bardziej negatywnie aniżeli do Ukraińców. W toruńska "Solidarności Walczącej" (nr 7/1987) można było przeczytać, że: *"Dziś Ukraińcy są pod wieloma względami obywatelami drugiej kategorii... Wciąż podlegają dyskryminacji wielu odłamów naszego społeczeństwa. Słowo "Ukraińiec" ma negatywne konotacje w języku polskim"*. Nie należy się więc dziwić, że ze strony Ukraińców istnieje pewna wrogość i że oni sami czują się "bezpieczniej" w swoich gettach niż na łonie społeczeństwa - jako całości. Opozycję czeka zatem ważne zadanie - powinna ona wyjaśnić wiele spraw Polakom oraz edukować ich, ponadto jednak zachęcać Ukraińców, by dostrzegali w Polakach (którzy pozbyli się uprzedzeń narodowych) swoich sojuszników.

Sześciu Ukraińców poruszyło zagadnienie religijnej sytuacji swoich pobratymców. Marek Janicki nie zajął się jednak nią głębiej. Otóż pan Janicki nie powinien przypisywać wszystkiego zła władzom komunistycznym. W oczach bowiem wielu Ukraińców polski Kościół rzymskokatolicki, podobnie jak rosyjska Cerkiew prawosławna, stanowi bastion nietolerancyjnego nacjonalizmu. Oczywiście, zarówno "Wy i My", jak uwagi p. Janickiego, ukazały się przed historycznym spotkaniem w Rzymie w październiku 1987 roku, które, miejmy nadzieję, wpłynie pozytywnie na poprawę losu ukraińskich katolików w Polsce. Nie ulega wątpliwości, iż dzieje się im znacznie lepiej w Polsce aniżeli na Ukrainie; jednak to, że protestują oni przeciw złemu traktowaniu w kraju, który szczyli się swoim przywiązaniem do katolicyzmu, powinno być wstydliwym faktem dla Polaków.

Dialog polsko-ukraiński rozwija się, choć nikt nie powinien oszukiwać się, iż wszystkie problemy znikną na dobre. Od młodszego pokolenia, to znaczy urodzonego po roku 1947, zależy, czy nie będzie powrotu do błędów przeszłości. By nie nastąpił taki powrót, obie strony muszą zdobyć się na polityczną dojrzałość, muszą spojrzeć na siebie i na historię obu narodów

uczciwie i szczerze¹. Ponieważ Polska stała się członkiem bloku komunistycznego, Polacy i Ukraińcy stanęli - nie po raz pierwszy we współczesnej historii, choć następuje to rzadko - przed wspólnym celem: pozbyć się rosyjskiego i komunistycznego jarzma. Cała dyskusja o przeszłości powinna być temu podporządkowana. Wykluczone jest, by którakolwiek ze stron usiłowała obwiniać drugą i przypisywać jej całe zło. Błędy popełniały obie strony. Od nas zależy, by nigdy do nich nie wrócono. Od nas też zależy przygotowanie Ukraińców i Polaków by - gdy imperium sowieckie upadnie - znaleźli się po tej samej stronie barykady; walczyć ramie w ramie ze wspólnym wrogiem. Powinniśmy tworzyć historię, a nie być tylko jej częścią.

Petro Kowalczyk (Suczasnist)

KILKA SŁÓW KOMENTARZA

Uważamy że, dalsze prowadzenie dyskusji na temat stosunków polsko-ukraińskich jako dwugłosu Janicki-Kowalczyk jest mało konstruktywne. Sądzymy, z pełnym szacunkiem dla obu Autorów, że mieli już okazję wypowiedzieć się i dlatego, dla zaprezentowania szerszej gamy poglądów, poprosiliśmy o komentarz do uwag Petro Kowalczyka inną osobę.

Redakcja

Redakcja "ABC" poprosiła mnie o skomentowanie tekstu Petro Kowalczyka. Podjąłem się tego w przekonaniu, że każda kolejna wypowiedź to krok w rozwoju dialogu między naszymi narodami, umożliwiającą lepsze poznanie wzajemnych poglądów, stanu świadomości, typu wrażliwości.

W tekście Petro Kowalczyka uderza przede wszystkim generalizacja, przekraczająca dopuszczalną miarę i - moim zdaniem - niesprawiedliwa. Między wierszami wywodu Kowalczyka można odczytać głębokie przekonanie, że wszyscy Polacy są wrogami Ukraińców i gardzą nimi. Uważam to przekonanie za

¹ Jeśli chodzi o okres międzywojenny, warto polecić doskonały artykuł Andrzeja Friszke "Polacy i Ukraińcy w Drugiej Rzeczypospolitej", który ukazał się w "Tygodniku Powszechnym", 31 stycznia 1988. (przypis autora).

nieuzasadnione. Znam wielu Polaków odnoszących się z sympatią do narodu ukraińskiego i mających poczucie, że jako naród znajdujący się aktualnie w lepszej sytuacji mamy obowiązek pomocy Ukraińcom. Oczywiście, silne są także nastroje niechęci i urazy. Wewnątrz naszej społeczności toczy się dyskusja, zmagamy się z balastem uprzedzeń, szukamy dróg zrozumienia, staramy się przezwyciężyć stereotypy ciężące nad naszym myśleniem. Tym bardziej przykre jest dla nas, jeżeli u partnerów z drugiej strony nie widzimy podobnej postawy, lecz tylko poszukiwanie możliwości przedstawienia swoich poglądów jako "prawdy prawdziwej".

Petro Kowalczuk przedstawia nam "polską" wizję narodu ukraińskiego. Wizję taką uważamy za nieuprawnioną. Poglądy takie bywały, ale ich przedstawienie bez sprecyzowania, jakle było ich miejsce w całości polskiej historiografii, ich społeczny zasięg, zmienność w czasie i tak dalej, zmusza nas do potraktowania tego fragmentu wypowiedzi w gruncie rzeczy jako wskazania obolących miejsc w świadomości historycznej Ukraińców, a nie prezentacji polskich poglądów.

Każdy naród ma prawo do swej własnej tożsamości narodowej, a mity zajmują w niej poczesne miejsce. Często jednak zdarza się, że mit nie odpowiada rzeczywistości. Nie umniejsza to jego kulturotwórczego i społecznego znaczenia. Nie można jednak reagować agresywnie, kiedy ktoś podejmuje próbę określenia relacji między mitem a rzeczywistością. Zwłaszcza jeśli, co zakładamy, nie czyni tego w złej woli, z intencją spotponowania innego społeczeństwa. Powyższe uwagi dotyczą fragmentu, w którym Petro Kowalczuk określił jako "niepoważne" podawanie w wątpliwość twierdzenia, że Ukraińcy są potomkami Kozaków. Wydaje się, że nie dostrzega on, że kultura ukraińska została ukształtowana przez ukraińskich (ruskich - według dawnych określeń) chłopów, mieszczaństwo, kler prawosławny i unicki oraz... ukraińską szlachtę (która przynajmniej do połowy siedemnastego wieku zachowywała sporo ze swojej odrębności i przywiązania do rodzimej tradycji). Kozacy ze swym niejednorodnym pochodzeniem, stanowili znikomą część mieszkańców Ukrainy. Ich rola polityczna była tylko przez pewien czas znaczna. Niemniej jest zrozumiałe, że stali się oni z czasem symbolem walki o niezależność Ukrainy. Nie zmienia to jednak faktu, że byłoby istotnym uproszczeniem odwoływanie się do kozaczyzny jako jedynej i podstawowego źródła kultury i świadomości ukraińskiej.

Cały ten problem jest naturalnie marginalny dla tematu dyskusji pomiędzy Janickim a Kowalczukiem. Zatrzymałem się nad nim dlatego, że uwidacznia on pewien sposób myślenia - łatwiej się schować za swój własny stereotyp, a odmienny sąd skwitować jako "niepoważny".

Podobnie fragment o ukraińskim faszystwie wydaje mi się polemiką z papierowym tygrysem. Załamywanie rąk nad tym, że Polacy nie wiedzą, że w latach trzydziestych nacjonalizm był chorobą wielu narodów, jest o tyle nie na miejscu, że my to doskonale wiemy. A rozważania na temat, co to znaczy być faszystą, są tak anachroniczne i propedeutyczne, że aż nie powinny mieć w tym artykule miejsca. Przypomina się popularny w Niemczech film "Ein Kapitel für sich" o losach typowej rodziny z Rostocku bezpośrednio po zakończeniu ostatniej wojny. Jest tam scena, w której kwaterujący u niej po zajęciu miasta oficer radziecki pyta syna gospodarzy, czy był faszystą. Charakterystyczna była zupełnie odruchowa odpowiedź: ja nie jestem Włochem, ja jestem Niemcem... Muszę przyznać, że dziwi mnie archaiczne pojmowanie określenia faszysta jakie ma miejsce w tekście Kowalczuka.

* * *

Pozwolę sobie przytoczyć fragment, który wydaje się mi najistotniejszy w tekście Petro Kowalczuka: *"Jeśli Marek Janicki naprawdę wierzy, że UPA zamierzała wymordować wszystkich Polaków (co jest przecież niemożliwe), oznacza to, że wpadł w sidła propagandy komunistycznej. On sam bowiem (podobnie jak niektórzy Ukraińcy) nie potrafi pogodzić się z tym, że jego rodacy nie są bez winy. A przecież każdy fakt masakry Polaków przez Ukraińców, na jaki mogą powołać się Polacy, ma swój odpowiednik w postaci martwych Ukraińców, którzy zginęli z polskich rąk"*.

Sformułowanie *"wymordować wszystkich Polaków"* rozumiem oczywiście jako *"wymordować wszystkich Polaków na spornych terenach polsko-ukraińskich"*, bo inaczej brzmiałoby to absurdalnie. Niemniej jednak i takie sformułowanie jest włożeniem w usta Marka Janickiego słów, których nie wypowiedział. Janicki mówi o rozpoczęciu akcji zabójstw, które miały zmusić Polaków do porzucenia tych ziem i w ten sposób uczynić je jednolitymi narodo-ukraińskimi.

Co do drugiego zdania, nie wiem na jakiej podstawie Petro Kowalczuk twierdzi, że Janicki i egzemplifikowani przez niego Polacy nie widzą winy ciążącej na ich społeczeństwie. Widzimy ją - choć zapewne nie wszyscy - gdyż wiemy o zbrodniach dokonywanych przez Polaków na Ukraińcach i uważamy je za tragedię taką samą jak każda inna zbrodnia. Mimo to nie możemy się zgodzić z twierdzeniem, że *"każdy fakt masakry Polaków przez Ukraińców ma swój odpowiednik w postaci martwych Ukraińców"*. Według naszej wiedzy wzajemne mordy zostały rozpętane przez stronę ukraińską (pamiętamy jednocześnie, że duża część Ukraińców nie solidaryzowała się z tymi, którzy się tego dopuścili), a ponadto liczba ofiar ze strony polskiej była

nieporównanie większa, a polskie akcje terrorystyczne miały generalnie charakter odwetowy.

Dlatego uważamy, że nie można stawiać znaku równości pomiędzy terrorem polskim a ukraińskim. Nie zmienia to faktu, że każde zabójstwo jest takim samym złem i dlatego potępiam także zbrodnię polskiego odwetu.

Chciałbym także dodać, że tak się ułożyły wydarzenia, że Polacy wycierpieli najwięcej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, a najsilniejszy odwet antyukraiński miał miejsce na terenie Chełmszczyzny. Sahryń jest polskim wyrzutem sumienia, ale nie można go wyrwać z kontekstu wydarzeń historycznych rozgrywających się na pograniczu polsko-ukraińskim.

Wydaje mi się, że najwyższy czas, by zbadać, a co najmniej opisać dramatyczne wydarzenia z naszej wspólnej najnowszej historii. Także i dlatego, że równie mało wiedzą Polacy o pacyfikacji ukraińskich wsi na Chełmszczyźnie, jak Ukraińcy o zbrodniach dokonywanych na polskiej ludności Wołynia. Przykładem tego jest także artykuł Petro Kowalczyka.

...

Cieszę się, że mieliśmy okazję podjąć dyskusję z Petro Kowalczykiem. Choć czytając jego tekst nieraz się zrymałem, pozwolił mi on lepiej poznać sposób, w jaki widzą problematykę naszej wspólnej historii (a i teraźniejszości) Ukraińcy. I mniej ważne dla mnie są ukraińskie obsesje, stereotypy i uprzedzenia, które dostec można w wywodzie Petro Kowalczyka. Jeżeli o nich pisałem, to dlatego, że mam nadzieję, iż wskazując je można pomóc Ukraińcom w wyzwoleniu się z nich.

Znacznie ważniejsze było dla mnie uświadomienie sobie i zwalczenie własnych uprzedzeń, pokonanie "obrazu wroga", który korzeniał się gdzieś w głąb polskiej świadomości. Wolni od nich, Polacy są w stanie docenić patriotyzm ukraińskiego chłopca, który poszedł do oddziału UPA, jak również dojrzeć obłędne zaślepienie nacjonalistyczne, które pozwoliło na powstanie zamysłu wymordowania całej wsi, tylko dlatego, że jej mieszkańcami nie byli Ukraińcy.

Mam nadzieję, że podobnych rozliczeń dokonuje wielu Ukraińców, co pozwala mieć nadzieję, że szybko nadejdzie moment, kiedy nie będziemy musieli każdej rozmowy rozpoczynać od obrachunków z przeszłością, lecz będziemy mogli mówić o przyszłości.

Z.M.

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ "SUCZASNIŚCI"¹

Stwierdzenie, że czasami pytania równie wiele mówią o poglądach pytającego, co o indagowanym jego odpowiedzi, nie jest nowe. Podobnie jest z ankietą przyslaną nam przez redakcję emigracyjnego czasopisma ukraińskiego "Suczasnist". Autorom można postawić zarzut co do sposobu konstrukcji pytań, na które odpowiedź jest już określona przez pytającego. Nie można oprzeć się wrażeniu, że osoby opracowujące ankietę mają skłonność do dychotomicznego widzenia problematyki polsko-ukraińskiej. Niestety, rzeczywistość nie jest taka prosta.

Poniżej odpowiadamy na poszczególne pytania, dodając również komentarz do ich treści. Nie reprezentujemy nikogo poza własnym środowiskiem, niezależnie od tego, na ile powszechne są opinie zawarte w ich odpowiedziach.

...

Pyt.1: *Czy Waszym zdaniem w dobie obecnej liberalizacji w Związku Sowieckim nie byłoby słusniejsze pozostawienie kwestii ukraińskiej samym Ukraińcom i Rosjanom; dzięki temu zademonstrowalibyśmy Sowietom naszą dobrą wolę i odcięli się od pomysłów rozbijania ZSRR, co mogłoby nam pomóc w uzyskaniu od Moskwy zgody na dokonanie głębokich reform w Polsce i uratowanie zagrożonej kryzysem polskiej substancji narodowej?*

Każda część tego pytania nasuwa wątpliwości. Nie wiadomo dlaczego przyjęto za fakt istnienie procesu demokratyzacji² w ZSRR, to znaczy takich przemian, które pozwalałyby mówić o jakichś przeobrażeniach strukturalnych.

^{1/} Prezentowany tekst został opracowany na początku ubiegłego roku, lecz z winy redakcji ukazuje się na nsszych łamach dopiero teraz. Mamy nadzieję, że nie stracił on na swej wadze mimo upływu czasu.

^{2/} Tak traktujemy określenie "liberalizacja" zawarte w pytaniu.

Dlaczego autorzy odwołują się do bliżej nie sprecyzowanych zasad "Realpolitik", stwarzając wrażenie, że traktują ją jako jedyną, a nie jedną z wielu wizji działania społecznego. Nasz stosunek do Ukraińców, jak i do innych bliższych i dalszych sąsiadów, nie jest wynikiem doraźnej taktyki. Stąd nie może być przedmiotem targów z kimkolwiek na Wschodzie czy na Zachodzie. Tworzenie iluzji, jak zawarta w pytaniu ankiety, może służyć jedynie utrwaleniu dotychczasowego układu sił, korzystnego dla naszych przeciwników. Pytanie zawiera w podtekście alternatywę: albo z Rosją kosztem Ukrainy, albo z Ukrainą kosztem Rosji. Ta alternatywa nie jest wcale oczywista, a co więcej - jest alternatywą pozorną. Chcemy głęboko wierzyć, że pomiędzy tymi trzema narodami jest możliwe nawiązanie normalnej współpracy.

Pyt.2: Czy normalizacja stosunków polsko-ukraińskich i współpraca między naszymi narodami, o ile w ogóle jest pożądana, nie powinna być ograniczona jedynie do płaszczyzny historyczno-kulturalnej i nie sięgać sojuszu politycznego?

Jak już pisaliśmy, nie uważamy, aby współpraca polsko-ukraińska winna być tylko wybiegiem taktycznym. Wyjaśnienia wymaga także termin "normalizacja stosunków". Nie wiadomo bowiem co on w istocie oznacza - czy pojednanie duchowe, czy unormowanie pewnych zaszciości (np. praw ludności polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce), czy też ustalenie normalnych kontaktów zgodnie z prawem międzynarodowym. Nie akceptujemy dychotomii - sprawy polityczne i inne. Tworzy to olbrzymie pole do manipulacji. Samo istnienie "terenów tabu" jest sprzeczne z pełną normalnością. Nie chcemy być rozumiani jako zwolennicy podejmowania już dzisiaj problematyki polityczno-prawnej stosunków między naszymi narodami. Być może za bardzo uwikłani jesteśmy w codzienność, być może jest to kwestia naszych zainteresowań i temperamentów, ale chcemy działać przede wszystkim w sferze świadomości, pomagać wzajemnemu poznaniu i kształtowaniu postawy tolerancji. Z dystansem odnosimy się do "politycznego sekciarstwa", choćby łączyło się ono ze sposobem myślenia, z którym sympatyzujemy. Oczywiście, nie zmienia to faktu, że uważamy, iż osoby, które widzą konieczność pracy właśnie na tym polu, winny być traktowane z szacunkiem.

Pyt.3: Czy Polacy powinni być zainteresowani polonizacją Ukraińców mieszkających w Polsce? Czy jest to problem bez znaczenia, czy też powinno im zależeć na zachowaniu przez Ukraińców tożsamości narodowej, a zatem powinni pomagać im w działalności narodowej -

może także w politycznej?

Pytanie to budzi nasz silny protest. Jest ono dla nas dowodem myślenia w wilczej optyce i smutnym przykładem pozostania we "wschodnioeuropejskim zaścianku", gdzieś sprzed stu lat. Ponieważ za jedno z podstawowych praw ludzkich uważamy możliwość bycia sobą, nie jesteśmy zainteresowani żadną akulturacją. Swobodny rozwój mniejszości narodowej uważamy, i uważa się powszechnie, za miernik demokratyzacji stosunków społecznych. Akceptacja upośledzenia jakiegokolwiek grupy społecznej oznacza poza wszystkim zagrożenie dla swobód obywatelskich.

Ukraińcy w Polsce ulegają powolnej polonizacji, tak jak i zapewne Polacy na Ukrainie czy w innych krajach ulegają powolnej depolonizacji. Dopóki jest to proces naturalny (na przykład poprzez mieszane małżeństwa czy wolny wybór) nie może budzić on sprzeciwu, a jedynie żal, że jakaś część naszej wspólnej kultury ginie wraz ze zmniejszaniem się naszej wspólnoty.

Szacunek dla mniejszości nie oznacza jednak, że na nas Polakach ciąży specjalna odpowiedzialność za ich rozwój narodowy. Nie wolno nam tylko zapominać o ich istnieniu (a tym bardziej go negować), natomiast mamy moralny obowiązek protestować przeciwko ewentualnym próbom ich dyskryminacji.

Uzupełniając odpowiedź na to pytanie, chcieliśmy dodać - fiejako w innej płaszczyźnie - że za mało możliwe i sensowne wydaje się nam tworzenie żywych skansenów, w przekonaniu, że w ten sposób zachowa się autentyczną kulturę ukraińską, białoruską czy inną.

Pyt.4: Czy sprawę przyszłych granic wolnej Polski należy rozstrzygnąć już teraz, czy też jest to niepotrzebne lub wręcz szkodliwe, bądź znajduje się poza naszymi uprawnieniami? Kto w tej sprawie powinien decydować: kraj czy emigracja, rząd w Londynie czy działające w kraju ugrupowania opozycyjne?

Uważamy, że jest to sprawa, której dzisiaj nie powinno się wysuwać na plan pierwszy. Jeżeli kiedyś problem ten stałby się aktualny (w sytuacji, w której społeczeństwa Polski i Ukrainy w suwerenny sposób mogłyby dyskutować i podejmować decyzje o wszystkich sprawach ich dotyczących i uznałyby za konieczne wypowiadać się o sprawach granic) winny to uczynić reprezentacje narodowe - wtedy, co jest warunkiem *sine qua non* omawianej sytuacji, już istniejącej. Pytanie uważamy, więc za błędnie sformułowane.

Dyskusje na temat granic nie mają dla nas większego sensu. Przesunięcia granic jakie dokonały się w Europie, były niemoralne i stały się wielką

tragedią. Polacy nie mieli na nie wpływu, byli tylko ofiarami - czy to jako wysiedleni, czy jako osiedleni na terenach poniemieckich. Na kogo spada odium za ten dramat - to osobny problem. Rzeczywistość dzisiaj jest taka, że Wrocław to czysto polskie miasto, a Lwów i Wilno to miasta z niewielką polską mniejszością.

Niemalio Polaków pozostało jednak na ojczyźnie, choć ta znalazła się w innym państwie; sytuacja jest zróżnicowana - inna na Wileńszczyźnie, inna w byłej Galicji Wschodniej, gdzie Polaków pozostało bardzo mało. Dlatego bezsensowne byłyby programy rewindykacyjne. Znowu przesiedlać miliony ludzi? Dokąd? Czy także tych, którzy mając ponad 40 lat, tu się urodzili i tu już mają groby rodziców i dziadków? Natomiast gromkim głosem należy domagać się prawa swobodnego dostępu do miejsc, z których pochodzą przodkowie, prawa do opieki nad grobami, pamiątkami i miejscami symbolicznymi, prawa do mówienia o swoich korzeniach, prawa do poczucia bliskości z ziemią na której się wyrosło.

Pyt.5: Czy Waszym zdaniem inicjatywa wydania polskiej "Suczasnisti" należała do udanych? Czy należy przekształcić ją w periodyk, czy też poprzestać na dotychczasowej formule? Czy rozszerzyć jej tematykę na problemy dotyczące innych sąsiadów, np. Białorusinów i Litwinów, czy pozostać pozostać tylko przy stosunkach polsko-ukraińskich?

Wypowiadaliśmy się już na łamach naszego pisma pozytywnie o polskim numerze "Suczasnisti". Dzisiaj mamy sąd wzbogacony o świadomość oceny tej inicjatywy przez różnych ludzi i różne środowiska. Sądźmy, że trafił on przede wszystkim do osób zainteresowanych i już wcześniej przekonanych o potrzebie pracy nad zbliżeniem polsko-ukraińskim. Przyjęcie tego numeru przez czytelników oceniamy jako średnio pozytywne. Wiele wątków, konkretnych interpretacji czy zawartych ocen budziło wątpliwości bądź opór. Kilkakrotnie zetknęliśmy się z opiniami, że "wymowa" tego numeru nie była obiektywna, bo raczej zostały tak dobrane, aby korzystniej i w bardziej przekonujący sposób prezentował się ukraiński punkt widzenia. W tej sytuacji jako pewną manipulację odbierano fakt niepodejmowania dyskusji wprost, ale zastosowanie metody odwoływania się do polskich autorów i skoncentrowania się na tematach, które dawały lepszą okazję do prezentowania własnego stanowiska.

Rozumiemy, że pismo poświęcone było ukazaniu polskiemu czytelnikowi ukraińskiego stanowiska i ukraińskiej wizji stosunków polsko-ukraińskich. Chcemy jedynie powiedzieć, że myślimy, iż bardziej oczekiwane i bardziej

wiarygodne byłoby pismo, które byłoby forum do dialogu, a nie zapisem ukraińskiego stanu świadomości.

Bezwzględnie należy się cieszyć z takiej inicjatywy środowisk ukraińskich jak publikacja z myślą o polskim czytelniku. Byłoby dobrze, gdyby można ją było kontynuować. Nie wydaje się nam jednak, by forma periodyku była dobra (przynajmniej myśląc w realiach kraju). Nie wiemy, jak intensywna byłaby dyskusja. Poza tym problemy kolportażu. Chyba że pod pojęciem periodyk rozumiemy np. rocznik. Być może ważniejszą sprawą niż treść dialogu polsko-ukraińskiego jest znalezienie sposobu informowania o jego przebiegu społeczności polskiej i ukraińskiej. Mamy natomiast propozycję, aby spróbować stworzyć periodyk poświęcony problematyce stosunków Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Rumunów, z wszystkimi sąsiadami i mniejszościami narodowymi na swoich terytoriach. Istnienie takiego pisma, na przykład kwartalnika wydaje się nam celowe i potrzebne.

Redakcja ABC

W dotychczasowych numerach ABC można było przeczytać m.in.:

ABC 1/84 • *Andrzej Sacharow*: O Hście Aleksandra Sołżenicyna do przywódców Związku Radzieckiego • *Juliusz Mieroszewski*: Rosyjski kompleks "polski" i ULB • *A.K.*: Niezrealizowana federacja polsko-czechosłowacka • *A.Z.*: Spór o federację bałkańską.

ABC 2/86 • *Piotr Radkunas*: Europa Środkowo-Wschodnia • *Igor Bietanowicz*: Rosyjski Kościół Prawosławny w ZSRR • *Frank F. Sysyn*: Sprawa ukraińskiego prawosławia w ZSRR • *Iwan Hwat*: Ukraiński Kościół Katolicki, Watykan i Związek Radziecki w czasie pontyfikatu Jana Pawła II • *x x x*: Kościół litewski w statystyce lat 1940 i 1978 • Wywiad z Julianem kardynałem Valvodsem • *Maria Broxup*: Islam w ZSRR - wydarzenia ostatnich lat • *o. Michał Aksenow-Meerson*: Albania - pierwsze w świecie państwo ateistyczne • *Timothy Garton Ash*: Mleczko na lemieszce. Nieoficjalny ruch pokojowy a Kościoły we wschodnich Niemczech • *A.O.*: Niezależne "ruchy pokojowe" w NRD, na Węgrzech i w Związku Radzieckim.

ABC 3/86 • *Zygmunt Komorowski*: Sw. Kazimierz a stosunki polsko-litewskie • *Ludmiła Aleksiejewa*: Litewski ruch narodowo-religijny • *Roman Fodebski*: Josyf Słupj - świadek wiary • *A.K.*: Węgierski niezależny ruch wydawniczy • *Sander Kopacsi*: Cziowiek o palcach kościołotrupa.

ABC 4/88 • *Nie jesteśmy ukraińskim Piemontem* - rozmowa o Ukraińcach w Polsce • *Miroslaw Prokop*: Opór na Ukrainie po II wojnie światowej • *Nie jest narodów rosyjskich?* - rozmowa z Aleksandrem Artemowem • *Mnie martwią problemy rosyjskiej kultury... a nie wielkiej państwowości* - rozmowa z Andriejem Siniawskim i Marią Rozanową • *Irina Rafuszyńska*: Moja Ojczyzna • *Zbigniew Markowski*: Geniza, źleje i flaszko planu federacji polsko-czechosłowackiej.

ABC 6/87 • *Jerzy Łojek*: Idea federacyjna Józefa Piłsudskiego • *ks. Władysław Bukowiński*: Idea Jagiellońska • *Gdyby tej granicy nie było...* - rozmowa z Polakiem z Litwy • *Hieronim Rogowski*: Czerwony Sztandar - gazeta dla Polaków • *A.S.*: Nad programem nauczania języka polskiego w szkole polskiej na Litwie • *Z.K.*: Litwa-Lietuva • *Kazys Almenas*: Co Litwini myślą o Polakach • *Anja Tuhałbejowicz*: Komentarz • *Piotr Maszkański*: O Litwie, dalszóg że mniej wiem niż o Chinach • *Zetka*: Problem litewski.

ABC 6/88 • *Anna Colas*: Historia pewnej stolicy • *Ludmiła Aleksiejewa*: Walka Tatarów krymackich o powrót na Krym • *Ryszard Torzecki*: Metropolita Andrzej Szeptycki • *Jan Sas*: Sobór lwowski • *W.K.*: Dzień dzisiejszy Kościoła grekokatolickiego w Polsce • *Vaclav Havel*: Karta 77 - jak ją pamiętam.

ABC 7/88 • *Perspektywy imperium: Jestem bezstronnym realistą* - rozmowa z Włodzimierzem Bukowskim; *Rozumiem Was Polaków...* - rozmowa z George'em Millerem • *A.K.* - Nadbałtycki dramat cz.1 - Estonia • *Od wrogości do współpracy* - WIN i UPA (1946-1947); *Jewhen Sztanders* - W poszukiwaniu porozumienia (Podziemie ukraińskie i polskie w latach 1946-1947); *Marian Gołębiowski* - Sojusz z Ukraińcami; *Konflikt mamy już za sobą* - rozmowa z Jewhenem Sztandersą

Ponadto w Bibliotece ABC ukazały się następujące pozycje:

• *Zbigniew Markowski*: Od realizmu do zwątpienia. Pięć szkiców z najnowszej historii Czechosłowacji • *Michał Heller, Aleksander Niekricz*: Rządy utopii